



Nazwa instytucji

Książnica Cieszyńska

Tytuł jednostki/Tytuł publikacji

Z Pamiętnika Dra Andrzeja Cinciały / wydał Jan Bystron.

Liczba stron oryginału

106

Liczba plików skanów

106

Liczba plików publikacji

107

Sygnatura/numer zespołu

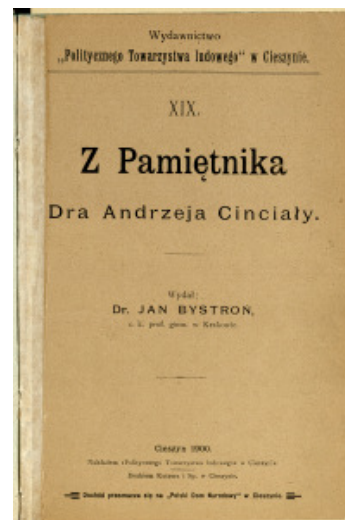
C I 034454

Data wydania oryginału

1900

Zdigitalizowano w ramach projektu pt.

**Udostępnienie cieszyńskiego dziedzictwa
piśmienniczego on-line**



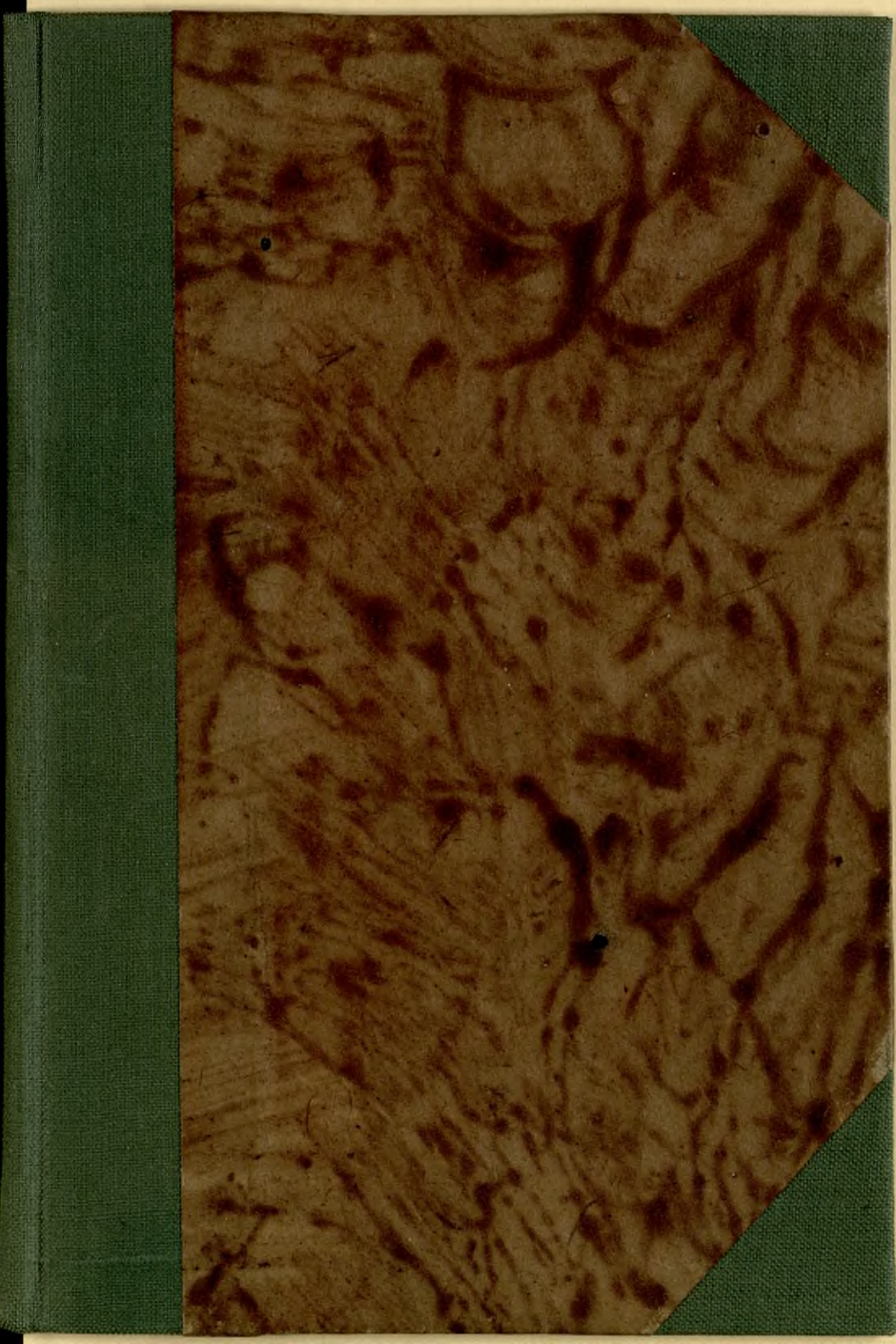
Fundusze Europejskie
Program Regionalny

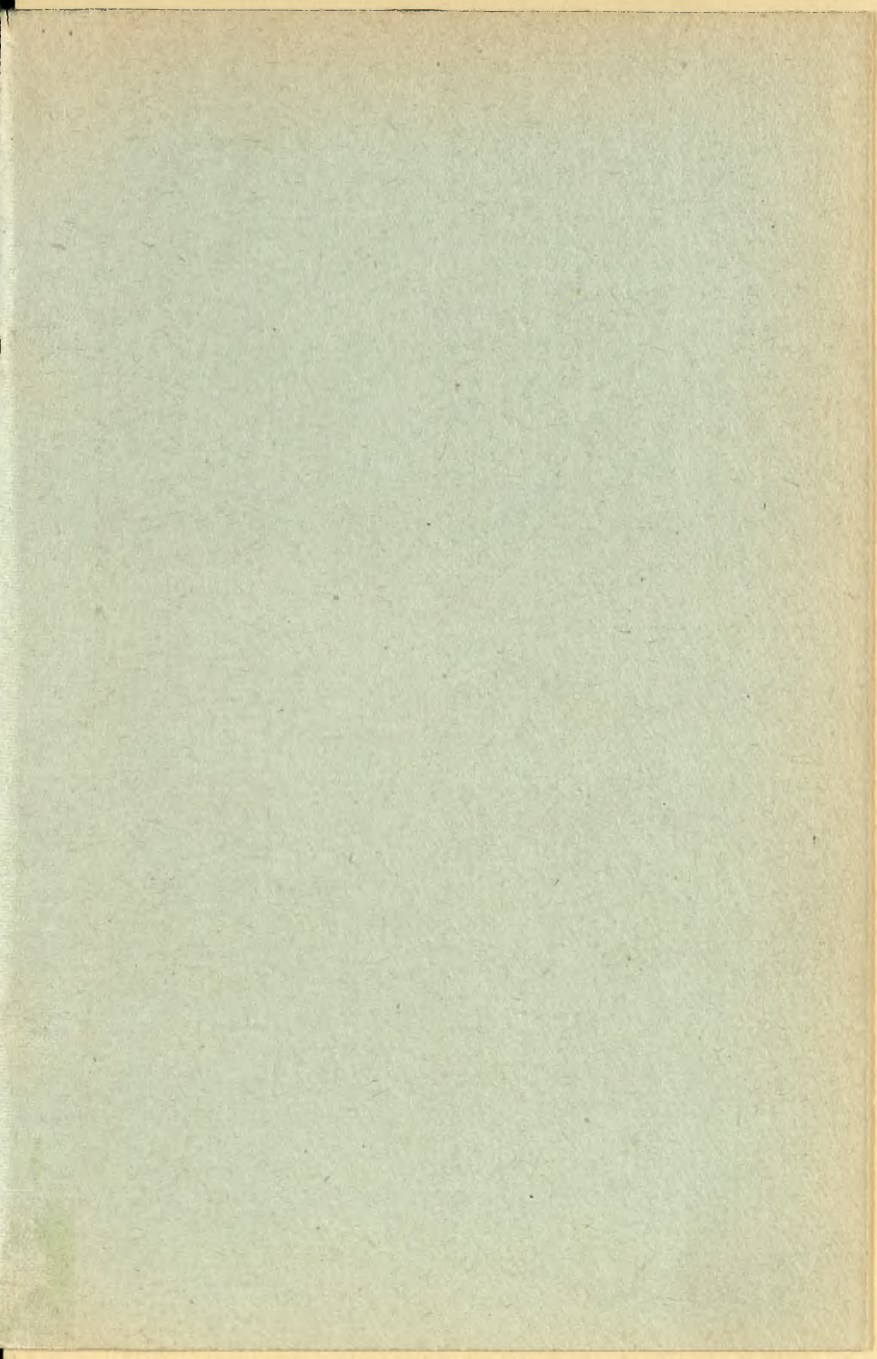


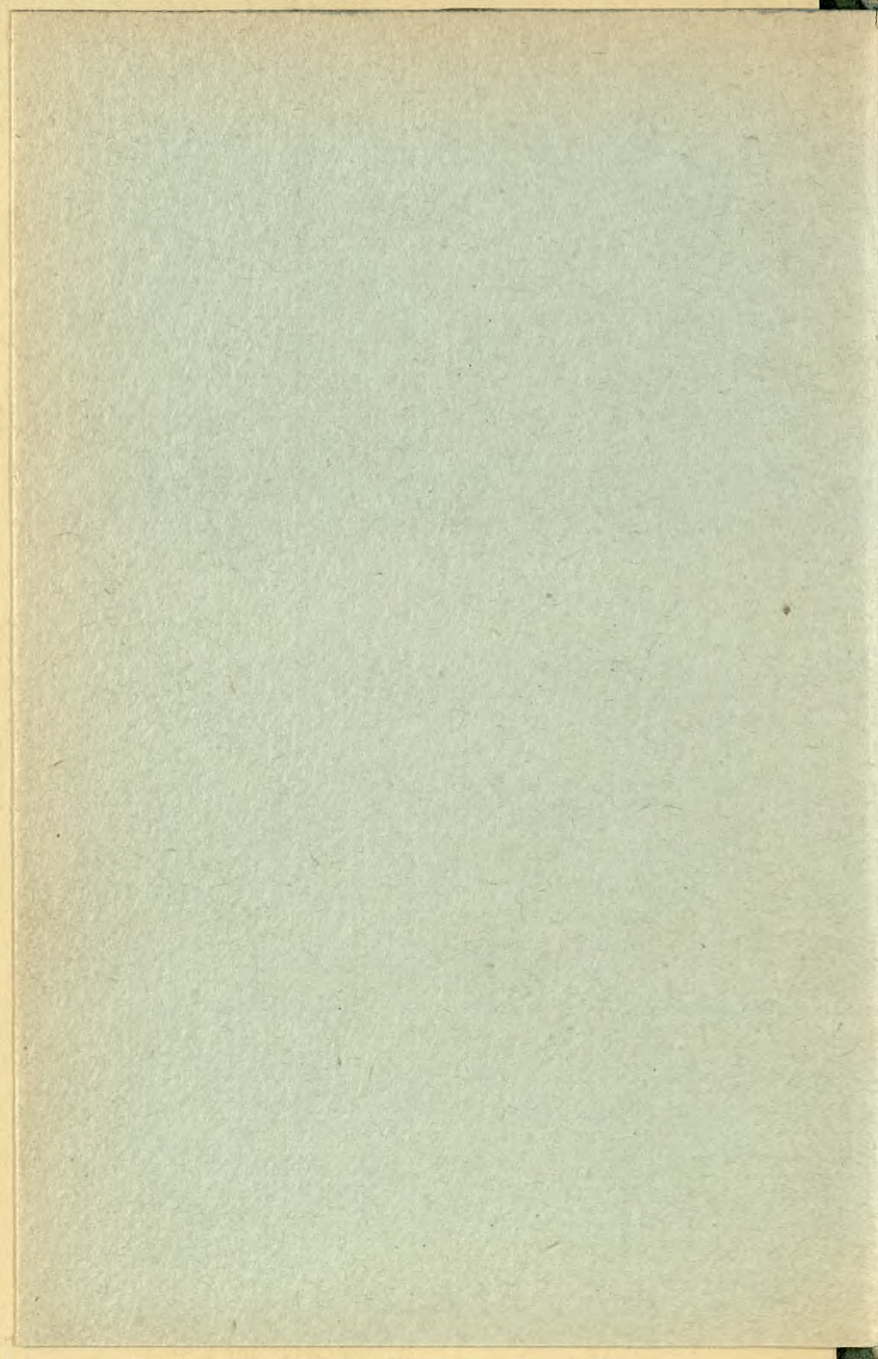
Śląskie.

Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego









Wydawnictwo
„Politycznego Towarzystwa ludowego“ w Cieszynie.

XIX.

Z Pamiętnika

Dra Andrzeja Cinciały.

Wydął:
Dr. JAN BYSTRON,
c. k. prof. gimn. w Krakowie.

Cieszyn 1900.

Nakładem »Politycznego Towarzystwa ludowego« w Cieszynie.

Drukiem Kutzera i Sp. w Cieszynie.

—≡ Dochód przeznaczają się na „Polski Dom Narodowy“ w Cieszynie. ≡—

347.365:328 66.11.12

C.0344541



I.

Młode lata. Nasze szkoły przed sześćdziesięciu laty.

Urodziłem się w roku 1825. dnia 8. czerwca w wiosce Górnych Kozakowicach pod nr. 38. starym, z ojca Andrzeja i matki Anny z domu Rańdów z Końskiej. Ojciec posiadał w Kozakowicach na nowej osadzie kawałek gruntu, gdzie się w roku 1818 wybudował, wysłużywszy wprzód w wojsku lat 14. Było nas rodzeństwa dziewięcioro, czterech młodszych odemnie umarło w dzieciństwie, a 5 pozostało przy życiu. Ponieważ ziemia nie wystarczała na wyżywienie tak licznej rodziny, trudnili się rodzice moi tkactwem, wyrabianiem cienkiego i grubego płótna, a matka szczególnie wyrabianiem fartuchów z harasu i sukien wełnianych dla kobiet, słynnych w całej okolicy.

Gdy miałem sześć lat, t. j. w roku 1831 zaprowadziła mię matka do szkoły w Goleszowie. Wzięła ona tam coś do ręki dla nauczyciela (rehtora), ja zaś wziąłem ślabikarz, który mi matka niedawno za sprzedaną kurę była kupiła, i małe zawiniątko, w którym się znajdował kawałek chleba z serem i masłem na obiad. Matka wstąpiła ze mną do klasy, a nauczyciel spostrzegłszy nas, pomówił nieco z matką, odesłał ją z węzełkiem do rehtorki, a mnie położył do ławki między chłopców równego ze mną wieku, nie dalej nie mówiąc. Miałem ślabikarz przed sobą, alem nie patrzył do niego, bo mnie bardzo zajmował ten gwar szkolny, tyle chłopców i dziewcząt i głos rehtora, o czem wszystkiem dotąd nie miałem pojęcia. Gdym się tak temu wszystkiemu losyć długo naprzyglądał, przypomniał mi się naraz dom

rodzicielski i wszystko to, co mnie tam otaczało, i zacząłem z żalu na głos płakać, tak, że w szkole śmiech powstał, ale nauczyciel nie mówił i nie łajał mię, bo wiedział z praktyki, że pierwsze dni dzieci za domem tęsknią. Na drugi dzień pytał mię nauczyciel o litery ze słabikarza, a gdy mu je wszystkie dobrze wymieniłem, bo już w domu u matki z nie małym mozołem, a często ze łzami się ich nauczyłem, przesadził mię do mniej wyższej ławki. Zrobiłem więc w krótkim czasie postęp, bo przeniesiony zostałem z pomiędzy „poznawaczy” — co się uczą litery poznawać, — do „składaczy” — co literę do litery dodawają — zgłoskują. Tu już to nieco dłużej potrwało, nimem się dorobił 3. stopnia t. j. „czytających”. Słabikarz (groszówka) był cały czeski, a to utrudniało bardzo naukę czytania, bo w nim były wyrazy, których nie rozumiałem. Następnie brałem się do pisanania na tabliczce łupkowej, którą sobie każdy uczeń do szkoły przynosił. Nauczyciel przepisywał pierwszy rząd, czyli wiersz na tabliczce, a uczeń według tego wzoru całą tabliczkę zapisał, a po obejrzeniu nauczyciela pisaninę zamazał i na nowo pisał, tak długo, aż pismo zgadzało się potrosze z przepisaniem rzędkiem, poczem nauczyciel nowe pismo napisał. Z tabliczki przechodziło się na papier, a tu już pisano według wzorów (Vorschriften), które nauczyciel pomiędzy piszących rozdzielał. Najprzód pisano niemieckie słowa, potem polskie, dalej kanzlei a nareszcie fraktur. Nim się kto tych 4 gatunków pisma nauczył, potrzebował do tego dłuższego czasu, a fraktura była koroną pisarską. Były też dwa razy na tydzień godziny rachunkowe przy tablicy czyli przy tabuli, a uczono się tam „adyrować, subtrahować, multiplyrować i diwidyrować”, wszystko z sprawdzeniem rachunku czyli próbą. Śpiewano godzinę raz na tydzień całą klasą pieśni kościelne, a raz na tydzień uczono poznawać cyfry na tablicy. Ci co skończyli słabikarz, dostawali do czytania i uczenia się na pamięć „naukę” Pauliniego, a do

czytania później nowy testament. Obydwie książki drukowane były szwabachem, chociaż polskie, książek z polskim, czyli łacińskim drukiem nie było w szkole. Raz do tygodnia było ogólne czytanie nowego testamentu, nie umiejący jeszcze biegle czytać, przysłuchiwali się podczas czytania. Gdy chłopak nauczył się czytać i pisać, nauczyciel zapytał się ojca, czy sobie życzy, aby synek uczył się także po niemiecku. Życzenia takie należały do wyjątków i zwykle tylko ci rodzice żądali nauki niemieckiej, którzy mieli zamiar oddać chłopców do szkół wyższych. Warunkiem przypuszczenia do tej nauki było, aby chłopiec okazywał wogóle zdolności i chęć do nauki. Nauka języka niemieckiego rozpoczynała się od uczenia się słów niemieckich. Chłopak musiał się postarać o „Wokabule“, co się w ten sposób działo, że pożyczał sobie od kolegi zeszytu na mały palec grubego, zawierającego te wokabule i sam go dla siebie przepisał. Gdy się tak nauczył słów zawartych w zeszycie, przeszedł do „Deklinacyi“, zawierającej krótką gramatykę niemiecką. Następnie uczył się „Małych lekcyj“ i „Wielkich lekcyj“ zawierających konwersacyą pomniejszą i obszerniejszą, aż nareszcie przychodziło się do „Dziesiątek“. Dziesiątki zawierały trudniejszą konwersacyą, a nazywały się tak, ponieważ każdy oddział zawierał dziesięć rozdziałów czyli rozmów. Wszystkie wymienione tu książki były pisane; każdy uczeń je dla siebie przepisywał, czy w szkole czy w domu. „Wokabule“ były w ósemce, inne zaś w ćwiartce. A gdy uczeń dobrze się wszystkiego nauczył i cieszył się względami nauczyciela, tedy jeszcze jedna, ale już ostatnia, czekała go niespodzianka. Nauczyciel wyjmował „ze szranku“ Ryłpsa. Była to powiastka o magdeburckim chłopie — o ile sobie jeszcze przypominam — pijaku, który się potem dostał do piekła. Tego Ryłpsa nauczyciel dawał po kawałku uczniowi do tłómaczenia na język niemiecki, przekład poprawiał czerwonym atramentem zupełnie

według niemieckiego oryginału, nie przepuszczając przy korekturze najmniejszego od pierwowzoru odstępstwa, wskutek czego te korektury przedstawiały się na papierze dziwnie. Była to praca mozolna i żmudna, nie prowadząca zresztą do celu. Nad Ryłpsa już większej mądrości nie było. Nie zobaczyło go też nigdy oko ucznia mającego zostać przy roli, gdyż był on przywilejem tych wybranych, co mieli się poświęcić naukom w szkołach wyższych. Gdy nauczyciel był w dobrym humorze, przynosił kilkanaście listów i wybierając z nich najmniej czytelne, rozdawał pomiędzy nas dla głośnego ich odczytywania. Był to dobry sposób do przyzwyczajania się do różnych charakterów pisma.

Były też pewne przez nauczyciela wyznaczone godziny, w których musieliśmy rozmawiać po niemiecku. Każde słowo polskie notowano wtenczas na „sygnie“, którą albo jeden z uczniów nosił przy sobie przez cały tydzień albo też jeden podawał ją drugiemu, gdy go przyłapał na polskiem słowie. Co sobota zaś odbywały się wypłaty; ile było kresek na sygnie, tyle otrzymywało się „halteki“ czyli uderzeń prętem na dłoń. Pamiętam, że jeden z nas miał ich 17. Po pewnym czasie jednak zapomniano po mału o sygnie, ale ją następnie znów odnowiono.

Nauki religii udzielał nauczyciel. Nie wdając się w żadne wykłady, zadawał ustęp, którego musieliśmy się nauczyć na pamięć. Nauka religii dla konfirmandów odbywała się co tydzień; udzielał jej ksiądz ustroniski Karol Kotschy lub też w jego zastępstwie jego syn Herman, ukończony teolog*), a ponieważ obaj byli zażyli, nabyli sobie wierzchowego konia, na którym w czas pogodny z Ustronia przybywali. W razie, gdy nie przybyli, naukę z konfirmandami odbył nauczyciel. Zapisy na tę naukę odbywały się w Ustroniu, bo też każdy zapisujący się coś przyniósł, a przewóz tych podarków z Goleiszowa do Ustronia byłby wymagał furi, którą się w ten sposób oszczędziło.

*) Zmarły niedawno pastor w Jaworzu.

Podczas zimy nauka w szkole trwała od 9—12 a od 1—3 godziny, podczas robót polnych dzieci o różnych przechodziły godzinach. Przez południe bawiliśmy się na placu kościelnym w ptaki, w kowala, ślepą babkę, kota i myszkę i t. p. Na wiosnę, gdy kwitły lipy i jabłeczniki, zbieraliśmy kwiat lipowy a z jabłecznika główki dla księdza Kotschego w Ustroniu, który miał wielkie wzięcie u ludu jako dobry lekarz. Bawiliśmy się także w „pim, pam, pum“, w młynek, pisanie słów i zdań wprost i wstecz tak samo brzmiących n. p. „kobyła ma mały bok“ lub:

S a t o r

A r e p o

T e n e t

O p e r a

R o t a s

Wakacje były dwa razy do roku; pierwsze na żniwa trwały 3 czy 4 tygodnie i nazywały się „psi dni“, drugie na kopaczki trwały dwa tygodnie. Zadań przez wakacje było bardzo mało, tylko starsi uczniowie otrzymywali niekiedy do domu małą robotę. Ja raz miałem się przez wakacje nauczyć odmianę: „der, die, das“ w liczbie pojedynczej i mnogiej, naturalnie bez jakiegokolwiek objaśnienia, co to wszystko ma znaczyć.

Nie rozumiejąc tego, namęczyłem się dosyć przez wakacje, aby się nauczyć, ale gdy przyszło odpowiadać, pomyliłem się i odebrałem ośm „haltek“. To było przywitaniem ucznia po wakacyach! Poskarżyłem się ojcu, a ojciec musiał w tym względzie coś uczynić, bo ten nauczyciel (właściwie pomocnik świeżo ze szkół przybyły, niejaki Cichy) wkrótce potem opuścił Goleszów. Corocznie odbywały się egzamina czyli „przywunki“, na które zwykle przybywał ksiądz i kilku ojców mających dzieci w szkole. Na miesiąc przed egzaminem nauczyciel rozdawał po ćwiartce papieru większego formatu pomiędzy uczniów celem pisania „probe-

szryftów". Nauczyciel wszystkie kartki, na których były różne rodzaje pisma, zebrał, uporządkował według piękności pisma i oprawił w książkę, którą podczas egzaminu przedłożył. Zresztą ksiądz słuchał dziatwę z przedmiotów szkolnych, kładąc główny nacisk na język niemiecki i z nauczycielem też tylko po niemiecku rozmawiał. Od czasu do czasu odbywała się także wizytacja szkolna, na którą także przyjeżdżał senior, raz nawet przyjechał superintendent Lumnitzer z Berna. Przypominam sobie, że na jego cześć musiałem deklamować jakąś niemiecką bajkę (Podróżny i żołądz), której nauczyłem się z trudem mechanicznie, nie z niej nie rozumiejąc. Ale deklamacja zadowolniła, ks. Superintendent nagroził ją nawet nowiuteńkim piętakiem, a Senior Schimko z Bielska, idąc za jego przykładem, obdarzył mnie również trojakiem. Były to jedyne premie podczas mojego uczęszczania do szkoły goleszowskiej, nie za naukę — ale za język niemiecki.

Wtedy nie było tyle szkół co dziś. I do szkoły goleszowskiej należało dużo wiosek mających obecnie własne szkoły. Gdyby też wszystkie dzieci były uczęszczały do szkoły, nie byłyby miały w niej miejsca, a nauczyciel nie byłby sobie dał rady, boć już z dziećmi, które rzeczywiście do szkoły chodziły, nie mało miał pracy.

Ale mimo to nauczyciel znajdował jeszcze wiele czasu na inne zajęcia, oczywiście ze szkodą dla szkoły. Przede wszystkim zabierały nam dużo czasu pogrzeby, które w tak wielkiej gminie szkolnej przypadały bardzo często. Odbywały się one tak jak dzisiaj. Zwykle cały dzień był stracony dla szkoły. Nauczyciel wprawdzie polecał jednemu z starszych uczniów zastępstwo w szkole, a rehtorka zaglądała też niekiedy do klasy dla podniesienia powagi zastępcy. Ale co to była za nauka!

Nauczyciele za moich czasów chodzili także po koleżdzie. Przed godami rehtorka napiekła opłatków, a nauczy-

ciel nabrawszy ich węzeł i zawiesiwszy płaszcz na się, poszedł z kościelnym po kolędzie od chałupy do chałupy. Wszędzie trochę posiedział i pogawędził, potem powstał, zdjął kapelusz i zaczął recytować „winsz“ dość spory, poczem znów usiadł, a gospodarz lub gospodyni przynosili kolędę, zwykle zboże, które wsypywano do worków przyniesionych przez kościelnego.

Po powinszowaniu nauczyciel dał gospodarzowi kilka opłatków na święta. Taka kolęda była częścią płacy nauczycielskiej. Później się to zmieniło, gdyż młodszy nauczyciele słusznie oświadczyli, że takie zbieranie po trosze zboża uwłacza godności stanu nauczycielskiego. Z resztą takie kolędy trwające kilkanaście dni, przynosiły uszczerbek nauce szkolnej.

Pomimo tego dzieci nauczyły się wszystkiego, co im do życia było potrzebne, a czego się nie douczyły w szkole, tego douczyły się w domu. Wychowanie domowe było nietylko przygotowaniem do nauki szkolnej ale też i dalszym jej ciągiem, a przedewszystkiem było religijne, a do tego nie było trzeba wiele słów, bo sam przykład wystarczał. Widząc, jak rodzice i starsze dzieci codziennie rano i wieczór klękali i modlili się, siedłem za ich przykładem, a te piękne wrażenia i tradycje z lat dziecińczych pozostały mi przez całe życie.

W niedzielę ta część rodziny, która nie mogła być w kościele, odprawiła nabożeństwo w domu odczytaniem odnośnego do dnia kazania z Dąbrówki, śpiewem i modlitwą. Przy każdej sposobności, zwłaszcza zimową porą i wolniejszą od zajęć gospodarskich, czytano biblią, najulubieńszą książkę, a ponieważ ja byłem najmłodszy, tedy najczęściej czytać musiałem i już w ten sposób nauczyłem się historii biblijnej. Czego nie rozumiałem n. p. ksiąg apokryficznych, to tłómaczył ojciec. Było wielu ludzi ocytanych, i tych zwano pismarzami i pismakami. Gdy taki pismak

słyszał o jakiej książce — naturalnie starej, bo nowych nie było — to tak długo chodził za nią, aż ją nareszcie znalazł. Mój ojciec posiadał książkę, którą zwaliśmy po krótku Dyskursem. Nie zagrzała się ona w domu, gdyż szła z rąk do rąk, i czasem ojciec musiał długo dopytywać się o nią, zanim ją odszukał, bo już była w dziesiątych rękach.

U każdego ewangelika była biblioteczka składająca się po większej części z książek treści religijnej, jak: Śpiewniki polskie (rzadkie), czeskie, biblie, postyle (Dąbrówka i wiele czeskich), książki modlitewne, niekiedy druki rzadkie, jak n. p. Biblia Radziwiłłowska. Książki te były w wielkiem poszanowaniu u każdego; właściciel ich przed śmiercią, jeżeli nie wcześniej, rozporządzał niemi jak resztą mienia. Po Śląsku chodzi dużo miłośników starych książek zwłaszcza z Morawy, którzy je wykupują i z kraju wynoszą. Niejedna polska książka poszła tą drogą do Polski. Tak sprzedane książki nie wrócą już nigdy na Śląsk, a żałować wypada, że się tak dzieje.

Dziwić się i ubolewać należy, że biblioteka kościoła ewangelickiego w Cieszynie, mająca fundusze na pomnażanie swych zbiorów, nie zajęła się dotąd zebraniem po jednym egzemplarzu książek nabożnych i religijnych polskich i czeskich znajdujących się na Śląsku, z czegoby powstała znaczna biblioteka mogąca się kiedyś przydać pisarzom książek religijnych. A gdy jest fundusz na podobne zakupna (możnaby także pomyśleć o przedrukowaniu rzadkich dzieł polskiej literatury ewangelickiej, bo w tem nikt nas nie wyręczy), i jest czterech księży przy Zborze ewangelickim cieszyńskim, więc dosyć rąk do błogosławionej pracy, pojąć nie można, że się tem nikt zająć nie chce. Tak dużo książek dobrych pójdzie w zapomnienie i zaturę, a nie będziemy mieć w bibliotece kościelnej może nawet Śpiewnika Trzanowskiego, którego nasz lud blisko 300 lat używał w domu i w kościele.

Książek świeckich było mało, prawie żadnych. Gdy kto z wielkim trudem dostał gdzie jaką książkę polską, zaraz ją przepisywał w całości, albo przynajmniej wypisywał z niej rzeczy ciekawsze, n. p. różne proroctwa, obrzędy weselne i t. d. Pewien gospodarz z Godziszowa, dostawszy dość grubą książkę o hodowaniu koni, kazał ją sobie przepisać, za co zapłacił pięć złr., kiedy książka drukowana ani połowy tej kwoty kosztować nie mogła. Literatura świecka składała się wyłącznie ze świstków sprzedawanych na jarmarkach i odpustach, zwykle były to rzeczy czeskie drukowane szwabachem, różne opowiadania z życia zbójców, opowieść o Bruncwiku i t. p.

Nauczycielem (rehtorem) był na on czas w Goleszowie Jan Liberda. W ubiorze nie różnił się niczem od chłopą, miał tylko przy kamizoli i brucleku nieco odmienne guziki, a wierzch kapelusza był nieco szerszy od innych. Jego żona (rehtorka) ubierała się zupełnie tak jak naówczas nasze kobiety; jadali wspólnie z jednej miski i żyli w ogóle tak, jak nasi rolnicy. Liberdzie, ponieważ już był starszy, dodano nauczyciela pomocniczego w osobie Pawła Heczki z Łyżbic. Ten należał już do ludzi inteligentniejszych, bo skończył gimnazyum i bardziej od innych garnął się do nauki. On to mnie i swego brata Jerzego (zasłużonego pastora w Ligotce) przygotował do nauki gimnazyalnej. Heczko przybył do Goleszowa nie w kamizoli, ale we szpencerze. Szpencer w tym czasie wyrugował u młodzieży męskiej i żeńskiej kamizolę, od której tem tylko się różnił, że miał kołnierz wykładany. Szpencerzyści nosili też spodnie na bótach, kamizolkarze zaś w bótach. Ale wkrótce nauczyciele, dla odróżnienia się od chłopów, posprawiali sobie kabaty (surduty), które wymagały nieco większego nakładu. Pierwszym, który się w kabacie pokazał, był Śniegoń, nauczyciel w Puńcowie. Powstał stąd szmer między Puńcowianami i nauczycielami, a gdy i Kaleta z Międzyrzecza i Kuczera z Nawsia przybyli

w kabatach do Heczki, i on sobie sprawił kabat. Ludzie niechętnem okiem spoglądali na te rektorskie kabaty, czując, że się nauczyciele chcą od nich odróżnić i oddzielić, co też z czasem faktycznie się stało. Obecnie jednak nasi nauczyciele znowu poczynają czuć z ludem pomimo różnicy w stroju, co jest rzeczą podrzędną.

Chcąc przygotowanie moje do gimnazjum przeprowadzić jak najlepiej, ojciec oddał mię do ks. Terlitzy, wybranego właśnie za księdza goleszowskiego. Ks. Terlitza pochodził z Wsetina na Morawie. Nie umiał on polskiego języka, ale ponieważ przyrzekł, że się go wkrótce wyuczy, został wybrany. Drugim kandydatem był prof. Kajzar z Cieszyna, który jednak, choć umiał po polsku, jakoś nie znalazł miru u ludu. Ks. Terlitza nauczył się dobrze po polsku i czytał wiele (ja sam dostarczałem mu wiele książek polskich). Był to człowiek niepospolitej nauki, miły w obejściu i wszędzie dobrze widziany. Przebył on w Goleiszowie lat 50. To przygotowanie do gimnazjum jakoś nie szło. Ks. Terlitza dał mi do nauki jakąś książkę niemiecką z wielką rybą na wstępie, której naturalnie nie rozumiałem i nie czytałem. Powróciłem więc znowu do dalszej nauki do Heczki.

II.

Gimnazjum ewangelickie w Cieszynie.

Było to w lecie r. 1839, kiedy udałem się z ojcem do Cieszyna, aby zdać egzamin do gimnazjum. Stanęliśmy przed ówczesnym eforem ks. Zlikiem, który był także z Kozakowic rodem. Ojciec prosił o przyjęcie mnie do klasy trzeciej, a ks. Zlik, zbadawszy nieco moją wiedzę z łaciny, języka niemieckiego i t. d., rzekł do ojca: „Nie

wiem, jak wiele synek Wasz umie, ale przychodzi tu, aby się uczył; jeżeli będzie się uczył, to to pójdzie." Zapisał mnie do klasy trzeciej. Mieszkanie miałem u profesora Glatza w osobnym pokoju, w którym studentów trzymał. Profesorem w klasie trzeciej był Fukala z Błędowic, czy z Szumbarku rodem. Nauka szła mi dosyć trudno i tylko przy wielkiej pilności mogłem podobać wymaganiom. W niemieckim języku byłem tak słaby, że profesora nie zawsze rozumiałem, z łaciny umiałem zaledwie deklinacją i trochę konjugacji. Trzeba było wypełniać wielkie braki a do tego uczyć się nowych przedmiotów jak języka greckiego i (obowiązkowego) francuskiego.

Z końcem półrocza jednak miałem postęp dość dobry. Była w ten czas w gimnazyum klasyfikacja taka: 1. Eminenz (celująco), 2. ademinenz (bardzo dobrze), 3. prima (dobrze), 4. secunda (średnio), 5. tertia (źle). Prof. Kajzar porobił jeszcze pośrednie klasy nieoficyalne: usque fere, vix 1^a, cum punctulo i t. d. Nauka rozpoczynała się śpiewem i modlitwą. W tym celu schodzili się uczniowie 3. klasy z uczniami klasy 4. w lokalu 4. klasy, a po nabożeństwie (bardzo krótkim) znowu się rozchodzili. Zwykle Fukala już czekał w katedrze i baczyl na każdego ucznia, czy ma bóty oczyszczone. W czwartej klasie profesorem był Glatz. Obydwaj z Fukalą podzielili się przedmiotami. Byli to ludzie dzielni, wykład ich był zrozumiały i wiele zadawali sobie pracy i trudu, by nas czego nauczyć.

Prawie wszyscy profesorowie w poprzednich i następnych czasach byli ukończeni teolodzy ewangeliccy i z małymi wyjątkami nasi ludzie, Ślązacy. Tu w Cieszynie jako profesorowie czekali na posady pastorskie i profesura była dla nich często tylko posadą chlebobajną. Było też w rzeczy samej trudno o profesorów świeckich, ewangelików. W całej Austrii było tylko jedno gimnazyum ewangelickie w Cieszynie z trzema profesorami, a gdzieindziej profesorowie ewangeliccy

nie mieli przystępu do gimnazyów, które były katolickie, jak w ogóle pomimo patentu tolerancyjnego ewangelikom utrudniony był wstęp do służby publicznej w Austrii.

Było to niezawodnie uszczerbkiem dla gimnazjum, iż nie miało profesorów odpowiednio przygotowanych, i że nie było podziału przedmiotów między nauczycieli, tak że jeden profesor musiał wyklądać wszystkie tak różnorodne przedmioty w swej klasie. Na wyżniej bronie przy kościele ewangelickim w Cieszynie były następujące klasy: 1. klasa przygotowawcza (Vorbereitungsklasse), do której uczęszczały dzieci od 6. roku życia począwszy. 2. pierwsza klasa, jako dalszy ciąg szkoły przygotowawczej. Pierwsza klasa podobnie jak przygotowawcza trwały po dwa lata. Te dwie klasy były właściwą szkołą ludową czteroklasową. 3. druga klasa (I. i II. gimnazyalna), 4. trzecia klasa (III. i IV. gimnazyalna), 5. czwarta klasa (V. i VI. gimnazyalna), z których każda trwała przez dwa lata, tak że gdy kto chciał wstąpić do gimnazjum, musiał czekać aż się dwa lata skończyły, kto zaś musiał powtarzać czyli re-petować, musiał dalsze dwa lata siedzieć w tej klasie.

To urządzenie pochodziło ztąd, że fundusz gimnazyalny, będący własnością kościoła ewangelickiego, nie wystarczał na utrzymanie sześciu profesorów, wystarczając zaledwie na trzech. Z tego też powodu nie było żadnych zastępców czyli suplentów, a w razie, gdy który z profesorów zachorował lub posadę opuścił, musiał go zastępować jeden z księży. Na tem nie wychodziliśmy źle, bo obaj księża byli dobrymi nauczycielami. Żłik był wyśmienity łacinnik i grek, matematyk i botanik i była to prawdziwa radość słuchać go. Tak umiał wyłożyć swój przedmiot i zachęcić uczniów do uwagi i do nauki. Umiał on zelektryzować uczniów i przywiązać ich do przedmiotu. Prawda, że i te substytucye miały swoje niedogodności, bo często przychodził wachtarz kościelny do klasy i zawołał: „Panie Tatulku, przyjechał też tam po

nich ku niemocnemu.“ W takim razie ks. Kłapsia zamykał książkę i odchodził, zaś ks. Żlik kazał czekać aż do ukończenia lekcyi. Obydwaj byli eforami gimnazyalnymi, zmieniali się co rok, mieli nadzór nad gimnazjum, prowadzili kancelaryę, załatwiali czynności gospodarskie i wraz z kolatorami zboru mianowali profesorów i przyjmowali uczniów do gimnazyum.

Uczniowie byli tylko ewangelicy, przeważnie ze Śląska, następnie z Czech, z Morawy, ze Słowaczyny, czasem także z innych krajów. Ci, że tak powiem, zagraniczni, byli przeważnie synami pastorów lub nauczycieli. Ze Ślązaków było najwięcej synów chłopskich. Nazywano ich kamizolkarzami, bo nosili kamizole a później szpencery, podczas gdy inni koledzy nosili kabaty (surduty) i nazywali się kabaciarzami. Dopiero gdy kamizelkorz ukończył gimnazjum i miał pójść do wyższych szkół, sprawił sobie surdut i już był panem. Nasi chłopcy udawali się zwykle na licea węgierskie do Preszburga, Kesmarku, Lewoczy, czasem i do Wiednia na filozofią, z Węgier zaś do Wiednia na uniwersytet. Do Lwowa lub Krakowa nikt wówczas się nie udawał, gdyż Śląsk nie miał żadnych z Polską stosunków. Pierwszy przełom zrobili Bujak i Cinciała. Bujak udał się z Węgier do Lwowa na prawa, Cinciała z Cieszyna na filozofię i prawo do Krakowa.

Jan Bujak pochodził z Wiśł. Obrawszy karierę finansową, dosłużył się rangi starszego radcy finansowego (Oberfinanzrath) i został radcą dworu. Umarł we Lwowie w r. 1886. Był to człowiek wielkich zdolności, Śląskowi zawsze przychylny, tak jak na kamizolkarza przystało. Nie raz ubolewał przedemną nad swoim szwagrem Drem Haasem, superintendentem w Cieszynie.

Reszta chłopców naszych poszła za chlebem albo do gospodarstw większych za pisarzy albo do kancelaryj, albo na nauczycieli ludowych, najwięcej zaś zostało ich przy

roli ojczystej, a czy osiedli na roli przed ukończeniem czy też po ukończeniu nauk gimnazyalnych, zawsze pamiętali jeszcze o dalszej nauce w chwilach wolnych od pracy gospodarskiej i nie jeden rolnik był przy swoim zawodzie dość dobrym grekiem lub łacinnikiem.

Kandydaci na nauczycieli ludowych ewangelickich udawali się po ukończeniu gimnazjum do preparandy na pół-roku, a uzyskawszy tam świadectwo uzdolnienia, otrzymywali posady przy szkołach ludowych. Katolicy nauczyciele zaś mieli tylko wykształcenie odebrane w Cieszyńskiej cztero-klasowej szkole głównej. Była więc wcale znaczna różnica w stopniu wykształcenia nauczycieli obu wyznań.

Za czasów ewangelickiego gimnazjum w Cieszynie byli też inteligencya chłopska bardzo liczna, gdyż wielu rolników ukończyło, jeżeli nie całe gimnazjum, to przynajmniej kilka klas, a umiała też i po polsku, bo chociaż dla szkół przepisane były tylko książki czeskie, to z Nowego Testamentu w szkole, a z Biblii i Dąbrówki w domu, nauczyła się języka polskiego, którego też uczono w 1. i 2. klasie gimnazyalnej. Teraz inteligencya chłopska wymiera, zwłaszcza od czasu zniesienia gimnazjum ewangelickiego.

Nauka rozpoczynała się w lecie o 7. rano i trwała do godziny 10; popołudniu zaś o 2. Popołudnia w środy i soboty i dni jarmaczne były wolne od nauki. W niedziele odbywały się nabożeństwa na przemian albo w czwartej klasie, gdzie po śpiewie jeden z profesorów miał stosowną przemowę, albo w kościele. Uczniowie zgromadzili się przed gimnazjum, a potem szli z profesorami do kościoła. Uczniowie 1. i 2. klasy byli obowiązani uczęszczać na kazania ranne (polskie), a w poniedziałek musieli profesorowi zdawać sprawę z treści kazania. Dwa czy trzy razy do roku bywaliśmy przy spowiedzi. W wilią spowiedzi zbieraliśmy się w 4. klasie, po śpiewie profesor lub ksiądz miał przemowę, jeden z uczniów miał mowę deprekacyjną, a śpiewem kończyło się nabożeństwo.

W zimie odbywały się często batalie śnieżne między alumnistami i tak zwanymi kostgängerami (t. j. uczniami mieszkającymi w domach prywatnych), mniejsze na placu kościelnym, większe w szanцах lub na wzgórzu za kościołem. Nie obeszło się tu bez lekkich skaleczeń i sińców, od których i podwójny ubiór niepotrafił ochronić. Bawiliśmy się też na placu kościelnym w piłkę, w psa, małe i wielkie myto, grypy, koble i t. p. a niekiedy udawaliśmy się na Małą Łąkę lub do wierzbiny dla zabawienia się na większej przestrzeni w wielkie myto. Mieliliśmy też między sobą związek muzyczny, a nauki muzyki udzielali nam żołnierze z kapeli wojskowej. Instrumenta dęte i basy były własnością kościelną. Na wiosnę odbywały się czasem na placu kościelnym produkcye muzyczne z niezbyt wielkiem powodzeniem. Także w kościele grywano niekiedy w święta uroczyste podczas nabożeństwa. Corocznie odbywano pod przewodnictwem ks. Żlika wycieczkę na łąkę Tul znaną z licznych roślin a z tamtąd na Czantoryą. Z końcem pierwszego półrocza odbywała się klasyfikacya, na której uczniowie otrzymywali klasy z przedmiotów nauki, zaś na końcu drugiego półrocza były egzamina. Odbywały się te egzamina w klasie 4. w obecności pastorów jako eforów gimnazyalnych. Przychodziły też na te egzamina księżdzki, żony obu pastorów, jakoteż niektóre wdowy po dawniejszych pastorach lub profesorach, zasiadały na krzesłach, wyjmowały z koszyków roboty i robiąc pończochę przysłuchiwały się egzaminowi. Gniewało to starszych uczniów, którym się zdawało, że te panie z pończochą powinny być zostać w domu, gdyż i tak nie rozumieją się na łacinie i grece. Z resztą takie egzamina nie wiele ciekawego przedstawiały. Profesor pytał jednego ucznia po drugim, po egzaminie odczytano klasyfikacyą, poczem ks. Efor pochwalił lub naganił uczniów, a zwykle jeszcze jeden z uczniów miał przemowę pożegnalną. Świadectw nie wystawiano, chyba na wyraźne żądanie ucznia opuszczającego zakład wydano mu

świadcstwo odejścia z klasyfikacją z ostatniego półrocza. Klasy z przedmiotów wpisywano do osobnej księgi z każdego półrocza z dodaniem, co z którego przedmiotu w półroczu wykładano.

Przed egzaminami odbywał się zwykle targ na książki, wyższa klasa sprzedawała klasie niższej książki szkolne. Książki wtedy nie zmieniały się tak często jak dziś, książka była dobra przez dziesiątki lat, uczeń więc za bardzo małą cenę nabywał książki do wyższych klas. Czasem też uczniowie z alumneum sprzedawali kostgängerom niektóre rzeczy z swego ubioru dla uzyskania w ten sposób nieco groszy na podróż do domu, która się oczywiście zawsze odbywała pieszo. Czesi często gromadkami wędrowali do domu, mając z sobą skrzypka lub gitarzystę, a gdzie zaszli, zaczęli grać i śpiewać, za co zostali ugoszczeni. W ten sposób podróżowali bez pieniędzy. Niekiedy Czesi zabierali z sobą Ślązaków na te podróże.

Instrumenta muzyczne, które na początku roku szkolnego porozdawano między muzykantów, z końcem roku wędrowały do tak zwanego Instrumentenzimmer, gdzie znajdowały się też różne przyrządy fizykalne, wszystkie bez wartości. Podczas nauki fizyki oglądaliśmy tylko pompę pneumatyczną, (Luftpumpe), z którą nikt nie umiał się obchodzić, tak że przychodzono zawsze do wniosku, że musi być zepsuta.

W gimnazyum był także urząd kalefaktora. Taki kalefaktor, czyli jak go lud nazywał, kalafachtor, był sługą szkolnym. Jego obowiązkiem było dzwonić dzwonkiem znajdującym się w wieżce gimnazyalnej. Dzwonił na godzinę przed rozpoczęciem nauki, niby na pobudkę o godzinie 6. rano, o $\frac{3}{4}$ 7. i o 7. godzinie, jakoteż po skończeniu godziny nauki. Kalefaktor odmykał i zamykał klasy, czyścił je i zamiatął co tydzień, w zimie palił w piecach, w niedzielę podczas nabożeństwa miechy przy organach ważył. Do niego też należało trzymanie pod kluczem uczniów skazanych na karę a nawet wymierzone kary chłosty, co się jednak za

moich czasów nie wydarzyło. Ten kalafaktor był, będąc niejako sługą szkolnym, zarazem uczniem gimnazjalnym, jak każdy inny, i uczył się zarówno z innymi uczniami. Bywał to chłopak rosły i tęgi, co bardzo potrzebne, choćby ze względu na czynność ważenia miechów przy organach.

Uczniowie gimnazjalni mieszkali albo w alumneum, albo w kwaterach prywatnych. Pierwsi nazywali się alumnistami, drudzy kostgängerami. Kostgängerzy sami się stołowali mieszkając u kościelnych, u różnych wdów i familij na wyższej bronie, u nauczycieli, profesorów, wreszcie u księży w dwu ostatnich pokojach. Zwykle n. p. u wachtarzy (kościelnych) było ich na niewielki pokój 10—12, a w tym samym pokoju mieszkał jeszcze gospodarz z żoną i dziećmi. Do łóżka dochodziło się albo od nóg, albo od głów, bo z boku miejsca nie było. Gospodyni gotowała studentom obiad, składający się zwykle tylko z maszczonych ziemniaków. Na śniadanie student jadał chleb, czasem z serem, na kolację znowu chleb lub resztki z obiadu. Co sobotę przychodził ktoś z krewnych i przynosił studentowi na cały tydzień nową strawę i jakiś grosz na potrzeby szkolne, a zabierał brudy do domu.

W zimie siedzieli wszyscy przy jednym długim stole i przy jednej tylko łożówce, w lecie uczono się na polu. Rzeczy oczywiście sam sobie każdy czyścił. Za takie mieszkanie, gotowanie i jaką taką obsługę (n. p. oskrobanie ziemniaków, pościelenie łóżka i t. p.) płaciło się gospodarzowi zwykle jeden złr. miesięcznie. Nie była więc u nas nauka gimnazjalna tak droga, bo żywności sobie rolnik nie liczył, książki nie wiele kosztowały, a ubiór teżby musiał synkowi w domu sprawić. Dlatego garnęło się bardzo dużo rolników do szkoły i zgola wszyscy zgłaszający się zostali przyjęci, bo egzamin wstępny był łatwy. Nie żądano wielkiej znajomości języka niemieckiego, wychodząc z tej słusznej zasady, iż się go student w gimnazjum douczy.

Budynek alumnejski stał dawniej w równej linii z farą, gdzie mieszkał ks. Kłapsia, a później ks. Otto, był drewniany z tak zwanymi pruskimi murami i bardzo się już chylił ku upadkowi. Wiatr wiał okropnie przez te pruskie mury, chociaż je naprawiano co rok, zatykając dziury, które alumniści przed wakacjami naumyślnie powiększali. Liczba alumnistów wynosiła 35—40; płacili pierwotnie po 25 złr. a rząd płacił pewne pauszale. Na śniadanie alumniści dostawali suchy chleb, na obiad rosół z ziemniakami, sztukę mięsa z ziemniakami i kapustę i kawałek chleba, na podwieczorek znowu chleb suchy, na kolację ziemniaki i kapustę. Chleb krajał jeden z alumnistów (Vorschneider), piętki, zwane knapsel otrzymywali dozorcy. Jadło więc było skromne, ale dobre i smaczne i w dostatecznej ilości, tak że zawsze zbyło, a kawałków niezjedzonego chleba było czasem kupami. Jedzono na dwóch, czasem na trzech stołach w pokojach położonych najbliżej kuchni, obiad rozpoczynał się krótką modlitwą zwaną przez jednego z uczniów. Jeden z alumnistów rozdelał potrawy i krajał mięso, każdy miał swój talerz, nóż i widelec, serwetek nie było, stołów nie nakrywano obrusami, lecz zmywano je po obiedzie, aby można na nich rozkładać książki i papiery.

Alumniści mieszkali w sześciu pokojach, a w każdym pokoju najstarszy student był dozorcą, za co otrzymywał knapslik. Wyznaczone do uczenia się godziny musiały być przestrzegane bardzo ściśle. O 10. wszyscy udawali się na spoczynek. W alumneum mieszkał jeden z profesorów, który sprawował główny nadzór nad uczniami. Ojcem alumnejskim był ks. Żlik. On przyjmował alumnistów i prowadził administracyą zakładu. Do rady i pomocy dodani mu byli dwaj kolatorowie zborowi, ci jednak nie wiele się troszczyli o zakład. Zaprowadzenie nowej gospodarki i wybudowanie nowego gmachu alumnejskiego przypada na czas, kiedy nowe presbyterstwo na mocy patentu cesarskiego z r. 1861

wybrane zostało. Do alumneum przyjmowani byli głównie uczniowie przychodzący z dalsza; rolnicy nasi nie garnęli się tam, bo im utrzymanie synków w Cieszyńie, jak je opisałem, taniej wypadło niż w alumneum.

Na krótko przed rocznymi egzaminami Wałach z Ligotki zwykle posyłał wiaderko piwa dla alumnistów na dzień egzaminu. Ochota i wesołość przy tem piwie była więcej warta niż samo piwo.

I tak przebyłem trzy lata w gimnazyum, zwyciężając liczne trudności wynikające z braku należytego przygotowania. Celującym uczniem nie byłem, ale też nie ostatnim. Ademinencye i Eminencye przeważały jedenki, dwójki zaś nie było nigdy, byłem więc uczniem średnim.

Równocześnie uczęszczałem do preparandy i uzyskałem świadectwo dosyć liche na pomocnika dla szkół ludowych.

III.

Pierwszy pobyt w Krakowie.

Z końcem roku szkolnego 1841/2 zakończyłem swoje naukę gimnazjalną w Cieszyńie i udałem się do Krakowa do księgarni D. E. Friedleina (ojca obecnego prezydenta m. Krakowa), aby się poświęcić księgarstwu. Ojciec sprawił mi nowy ubiór, do którego należał szpencer i kaszkiet z prostym daszkiem czyli szylde, jak to Francuzi noszą, matka wyposażyła mię bielizną, a oprócz tego otrzymałem 15 czy 20 złr. samymi cwancygierami, nie na podróż, lecz, abym w świecie nie był bez grosza. Sąsiad nasz jechał po sól do Wieliczki, miałem więc furę i towarzystwo. Wóz był wielki, nakryty płachtą, a wewnątrz oprócz siana i owsa dla pary koni nie było nic, było więc dosyć dla mnie w nim miejsca. Z uczuciem żalu, pożegnany przez rodziców, jechałem pod

opieką furmana. Przenocowawszy w Wadowicach, stanęliśmy nazajutrz wieczór na Podgórzu. Furman jechał dalej, ja zaś tam zostałem. Następnego dnia doniosłem Friedleinowi o moim przyjeździe, Friedlein przybył, załatwił sprawę w urzędzie podatkowym na Podgórzu i uzyskał dla mnie po dłuższym czasie przepustkę (Passierschein) do Krakowa. Przechodziliśmy przez most pływający i przez Kazimierz. Żydków zaniepokoił mój niezwykle strój, ciągnęli mnie gwałtem do swoich sklepów, wabiąc mnie do swoich przeróżnych towarów. Mieszkanie i drukarnia D. E. Friedleina były naprzeciwko kościoła OO. Dominikanów. Tam złożyłem swoje rzeczy, tam też przyjął mnie Friedlein, wypytał o moje stosunki rodzinne, odebrał pieniądze, które miałem z sobą, objaśnił mi, jak się mam zachowywać, i kazał mi coś podpisać. Wykonywałem z początku roboty bardzo podrzędne, wkrótce jednak zaczął mnie pryncypał używać do rzeczy ważniejszych, np. do spisывania katalogu kartkowego wypożyczalni książek francuskich, dał mi książkę ze spisem wszystkich księgarzy zestawionych według miast i kazał nauczyć się na pamięć tych nazwisk, co mnie tak obalamuciło, że odtąd żadnego nazwiska zapamiętać nie mogę.

Kazał mi także jakiemuś studentowi uczyć po polsku, co mi jednak nie przyniosło wielkiej korzyści. W jesieni pryncypał sprawił mi nowy surdut z grubego bardzo sukna i niezgrabny, tak że wyglądałem w nim jak nieświedź.

W niedzielę było nieco więcej czasu wolnego, tak że człowiek mógł przynajmniej iść do kościoła. Friedlein był także ewangelik, ale do kościoła rzadko chodził. Ks. Otremba, proboszcz zboru ewangelickiego krakowskiego, miewał w niedziele przed południem kazania niemieckie, a co drugą niedzielę popołudniu kazania polskie. Nie był to kaznodzieja pierwszorzędny, nudził okropnie, jeżeli nie czem innem, to wieczną jednostajnością głosu. Drugim kaznodzieją był misionarz Hof, mieszkający stale w Krakowie, także mowca

nieświatny. Jaka to ogromna różnica między krakowskimi kaznodziejami a cieszyńskimi, Żłikiem i Kłapsią! Często sobie też myślałem: Takich by tu w Krakowie potrzeba, coby trochę rozruszali lud!

Księgarnia nasza była dosyć odwiedzana. Często w niej gośćmi byli ks Schindler, Prezydent Rzeczypospolitej Krakowskiej, profesor Jerzy Muczkowski, Józef Majer (żyjący jeszcze były Prezes Akademii umiejętności) i jego brat, ks. Jakubowski i inni. Więcej gości bywało, gdy przybył nowy transport książek. Wtedy przychodził cenzor Majeranowski, my rozpakowaliśmy pakę ułożoną pod długim stołem, wyjmowaliśmy książki i kładli je przed cenzora, który książki wydające mu się podejrzanemi zabierał z sobą do bliższego przejrzenia. Ale myśmy także pod stołem odbywali cenzurę, wkładając między makulaturę książki, które mogły być podejrzone, zwykle opatrzone jakimś znakiem na obwójce papierowej, i usuwając je w ten sposób z przed oczu bacznego cenzora.

Kraków był naówczas miastem wolnem i niepodległym, które rządziło się samo wraz z okręgiem. Wszystko, co tam widziałem, wielce mię zajmowało, zwłaszcza zaś lubilem chodzić na zamek. Było w Krakowie bardzo tanio na on czas, za grosz polski dostało się kamionkę pośledniejszego, za trzy grosze kamionkę doborowego piwa. Babki za sześć groszy mogło się kilku najeść. Dopiero po wcieleniu Krakowa z okręgiem do Austrii w r. 1846 wszystko podrożało.

W lutym r. 1843 umarł mi ojciec. Wiadomość ta zmartwiła mię bardzo; zdawało mi się, że już chyba nigdy w życiu nie będę wesoły, nigdy się nie rozśmieję. Musiałem też w krótkce potem opuścić księgarnię Friedleina, który mi oświadczył, że już mię niepotrzebuje. Ponieważ przysłana mi z domu piątkę policyant uważał za sfałszowaną, musiałem się przez 10 dni przesiedzieć na odwachu przy ulicy Kanonnej, gdzie mnie badano, posądzając — o fałszowanie pieniędzy. Wy-

puszczono mię nareszcie jako niewinnego z końcem marca r. 1843, ale piątkę zabrano. Otrzymałem ją dopiero kiedyś za pół roku przez urząd kameralny w Cieszynie po uznaniu jej za prawdziwą przez urząd wiedeński. Gdy tak znalazłem się bez grosza, poratował mię drukarz Franciszek Dziewoński pożyczką kilkuguldenową, tak że mogłem wybrać się piechotą do domu.

IV.

Za chlebem.

Bawiłem 20 dni w domu, szukając na wszystkie strony jakiegokolwiek zatrudnienia, ale nie znalazłem go ani jako pomocnik nauczyciela, do czego miałem kwalifikacyą. Nareszcie otrzymałem posadę pisarza w majątku Ferdynanda Nowaka w Kaczcach Dolnych. Dobra ta, mające obszaru z lasem niespełna 200 morgów, kupione zostały za około 30.000 złr. Przed rokiem 1848 dobra tabularne wolno było nabywać tylko szlachcie, tudzież obywatelom Cieszyna posiadającym własne kamienice. Szlachta wymierała, a mieszczenie cieszyńscy albo nie mieli pieniędzy, albo nie umieli gospodarować, zmniejszała się więc liczba nabywców dóbr tabularnych. Za to było dużo dorobkiewiczów ze stanu chłopskiego, znających się od dzieciństwa na gospodarce wiejskiej i jakie takie grosiwo mających. Gdy sobie taki dorobkiewicz upatrzył jakie dobra i dobił targu, leciał zaraz do Cieszyna, kupił dom, podał kontrakt kupna do intabulacyi, a nazajutrz, wylegitymowawszy się jako obywatel cieszyński, podał kontrakt kupna na dobra do tabuli (Landrechtu).

W Kaczcach byłem pierwszym i ostatnim urzędnikiem, pisarzem, którą to godność przed moją instalacyą piastował sam właściciel (Miłość Pan). Z początku miałem tu niewiele do roboty, później atoli czynności się zwiększyły. Codziennie

zapisywałem robotników do rejestru ręcznego, a w niedzielę odbywało się wrąbienie, wrąb wręb. Wszyscy robotnicy schodzili się do dworu w niedzielę po południu, każdy z swoim wrębem. Najprzód wrąbili konni a potem piesi robotnicy. Sprawdzano przedewszystkiem ilość dni odbytej pańszczyzny, a gdy się zapis zgadzał z zeznaniem pańszczarza, pisarz polecił uskutecznić wrąb, co się tak działo: wrąb przyniesiony przez pańszczarza składał się z wrębem będącym w przechowaniu we dworze, poczem gazda dworski na obydwóch częściach patyka (wrębu) zrobił wcięcie piłką. Ile było dni roboczych, tyle wcięć, półdnie zaś z boku na krawędzi wycinano. Te wręby (patyki) dworskie były związane sznurem i na każdym był wypisany numer osiadłości. Gdy ludzie bardzo prosili, a Miłość Pan raczyli mieć parę szóstek w kapsie, to zamiast wrębu odbywała się wypłata. Płacono za dzień pieszy 6 krajcarów monety konwencyjnej, za konny nieco nad 1 złr. Ja pobierałem rocznej płacy 20 złr. m. k. co równa się 21 złr. w. a., a wypada na dzień niespełna 6 ct.

W pobliżu Dolnych Kaczyce położone są dobra Górno-Kaczyckie (przeszło 400 morgów), które w ten czas należały do Jana Kukucza, teścia Nowaka. Kukucz był także dorobkiewiczem ze stanu chłopskiego i śmigał biczem po koniach, furmając z Tryestu do Lwowa i Czerniowiec, jak to czyniło wielu naszych rolników. Zarobiwszy sobie znaczny kapitałik, kupił naprzód Radwanice, następnie Górne Kaczyce. Do tego Kukucza (pisał się już Johann Kukutsch) przeszedłem na służbę, bo mu się spodobałem. Miałem tam znacznie więcej zajęcia niż w Kaczycach Dolnych, gdyż musiałem załatwiać różne sprawy kancelaryjne. Wygód tam nie było żadnych, owszem nieraz wypadło cierpieć głód, a do tego nie przypadłem do gustu panu Verwalterowi, tak że ostatecznie z końcem roku 1844 posadę tę tak nieświetną musiałem opuścić.

Rok 1845 źle się dla mnie zaczął. Do domu nie było się po co udawać, bo byłbym matkę bardzo zasmucił. Szukałem wszędzie jakiegoś zajęcia aż nareszcie przyjął mnie Dr. Demel do swej kancelaryi adwokackiej za pisarza, ofiarując mi miesięcznie 5 złr. za ośmiogodzinną pracę dziennie. Było to mało, ale przecie było coś, trzeba się było zastosować do okoliczności. Starszy pisarz u Dra Demla, niejaki Niemetz, przyjął mnie do siebie na mieszkanie i wikt za 3 reńskie miesięcznie. Ale i to zajęcie u Dra Demla nie trwało długo. Roboty się wyczerpały, jak twierdził Demel, i ja stałem się zbitecznym. Dr. Demel był bowiem bardzo łechciwy na pieniądze, chciał więc oszczędzić na mnie tych kilka reńskich. Tak więc po raz trzeci znalazłem się na bruku, nie z własnej winy, gdyż wszędzie dobrze się sprawowałem, pracując pilnie i unikając wszelkich wybryków.

V.

Dr. Klucki. Początki pracy narodowej.

Otrzymałem nareszcie pracę w kancelaryi adwokata Dra Ludwika Kluckiego w Cieszynie. Miałem przepisywać allegata procesowe polskie. W ten czas było o wiele mniej adwokatów niż teraz. Tylko w większych miastach (n. p. w Ołomuńcu, Opawie, Cieszynie, Tarnowie) było po kilku, w Cieszynie tylko dwóch, gdy obecnie jest ich około dwudziestu. Prowadzono tedy w Cieszynie dużo procesów z zachodniej Galicyi, do których załączniki niekiedy bardzo obszerne były polskie. Ponieważ w kancelaryi Dra Kluckiego nikt z tem nie umiał sobie dać rady, tedy Dr. Klucki chętnie mnie przyjął do tej pracy za miesięcznem wynagrodzeniem 8 złr. m. k. Jakże byłem szczęśliwy! Miałem tu dużo czasu i sposobności do czytania książek polskich i

niemieckich, w które biblioteka Dra Kluckiego wcale dobrze była zaopatrzona. Znalazłem tu znaczną liczbę książek polskich, także i niemieckich zajmujących się sprawami słowiańskimi, czeskich i innych słowiańskich, a ponieważ księżnica ta ciągle się uzupełniała rzeczami nowymi, byłem u bardzo pożądanego i obfitego źródła, z którego wiele korzystałem. Dr. Klucki odbierał także gazetę urzędową lwowską z dodatkiem beletrystycznym, zdaje mi się, jedyną wówczas (1845) polską gazetę w Galicyi. Ludzie się dziwili, że trzyma sobie tak niepotrzebną i drogą gazetę. Dr. Klucki nie najlepiej mówił i pisał po polsku, ale był w języku polskim rozmiłowany, lubił z ludźmi pochodzenia polskiego mówić po polsku i wykpiwał tych, co się po polsku mówić wstydzili. Zachęcał ludzi do używania swojego języka i w domu i w życiu publicznem i skarżył się, że naszym polskim językiem w kancelaryach poniewierają. Zwłaszcza zaś umiał dociąć tym, którzy wyszli z pod wiejskiej strzechy, dorobili się kawałka chleba a wstydzili się mówić po polsku. Docinał też mieszczanom i urzędnikom często z nimi walkę o język polski staczając. Był to człowiek niepospolitych zdolności, bystrego rozumu, gładkiej i płynnej wymowy, z gruntowną nauką i dobrem wychowaniem, niezłomną wolą i prawym charakterem. To wszystko jednało mu szacunek i poważanie w towarzystwie ludzkim i wziętość u klienteli. Zaano go i lubiono nie tylko na Śląsku, lecz i poza jego granicami. Jego rozmowy z personelem kancelaryjnym, z klientami i z odwiedzającymi go często wybitniejszymi osobistościami wielki i korzystny wywarły na mnie wpływ.

Postanowiłem dalej prowadzić swój dziennik przerwany w Kaczycach i kształcić się dalej. Zerwałem też z niemieczyną, bo dotąd, tak jak wszyscy koledzy ze szkół gimnazjalnych, miałem się jeszcze za Niemca. Andrzej Kotula, później notaryusz w Cieszynie, Paweł Stalmach, Jerzy Heczko, pastor w Ligotce, Jan Bujak, radca dworu we Lwowie i t. d.,

wszyscy synowie rolników, uważali się za Niemców, bo nas tak wychowano w gimnazyum. A co Stalmach mówi gdzieś w „Gwiazdce“, że zawsze był Polakiem, nie zgadza się z prawdą, wszak posiadam jeszcze od niego z czasów gimnazjalnych niemiecki Stammbblatt. Szczęśliwemu tylko trafowi wymienieni powyżej mężowie zawdzięczają, że wrócili do swych rodzin, że zajęli się szczerze swoim ludem i że mówili i pisali językiem ludu, to jest polskim. Takim szczęśliwym trafem było dla mnie wstąpienie do kancelaryi Dra Kluckiego. Tam mi się dopiero otworzyły oczy, tam dopiero poznałem, że jestem w błędzie, mając się za Niemca, i że popełniam grzech względem swego ludu, używając niepotrzebnie języka obcego. To też zacząłem teraz myśleć, mówić i modlić się po polsku. Z początku wszystko to szło trudno, bo język jakoś jeszcze uciekał do Niemiec i trzeba go było ciągle nawracać i strofować. I w dzienniku swoim dałem niemczyźnie stanowczą odprawę i pisałem go w dalszym ciągu po polsku. Postanowiłem też zbierać pieśni, przysłowia i przypowieści naszego ludu z okolic Cieszyna i zbierać materyały do Słownika śląskiego. Urosły z tego z czasem dwie książki: 1. Przysłowia, przypowieści i ciekawsze zwroty językowe ludu polskiego na Śląsku w Księstwie Cieszyńskim. Cieszyn 1885 i 2. Pieśni ludu śląskiego z okolic Cieszyna. (Kraków 1885) tudzież 3. Słownik prowincjonalizmów śląskich, dotąd nie wydany.

Nadszedł rok 1846, a z nim rzeź galicyjska, tak zwana rabacya. Byliśmy w Cieszynie zawsze prawie na nogach. Nie było jeszcze kolei żelaznych ani telegrafów; wszystkie więc wiadomości z Galicyi do Wiednia a rozkazy i polecenia z Wiednia do Galicyi szły przez Cieszyn. Wojsko przychodziło i odchodziło, a furmanki pod eskortą przyjeżdżały z Galicyi. Dużo szlachty przybywało w ucieczce do Cieszyna, jedni tu pozostawali, inni

jechali dalej. Liczni udawali się do Dra Kluckiego z prośbą o pomoc i radę, której on udzielał chętnie. Był także między chroniącymi się w Cieszyńie Adam Górczyński, literat i właściciel dóbr, który dłuższy czas przebywał w Cieszyńie i często przychodził do Dra Kluckiego. I ja się z nim poznałem, ofiarował mi nawet Cegielskiego „Naukę poezyi“, z którego to dzieła obzajomilem się poniekađ z literaturą polską.

VI.

Powrót do gimnazyum.

W tym roku powziąłem teŝ zamiar ponownego wstą-
 pienia do gimnazyum celem dokończenia przerwanych nauk. Niejaki Jerzy Kotula z Grodziszcz, mający również podobny zamiar, umawiał się o tem ze mną. Rzecz była nie łatwa, bo i duŝo z dawnej nauki już się zapomniało i lat przybyło i środków materyalnych nie było, ale, postanowiwszy raz dopiąć celu, wziąłem się energicznie do nauki, by powtórzyć, czego się nauczyłem dawniej a z początkiem półrocza zgłosiłem się z Kotulą do ks. Efora Kłapsi z prośbą, aby nas zapisał na drugi rok klasy 4. czyli do 6. łacińskiej, bośmy obydwaj wystąpili z gimnazyum po ukończeniu klasy piątej. Ks. Kłapsia nie pochwalił naszego zamiaru, mówiąc między innemi: „Was werdet ihr dort machen unter den Buben?“ ale ostatecznie pomimo stawianych nam trudności (bo i drugi Efor ks. Żlik odradzał nam wstąpienia do gimnazyum i nie przyjął mnie do alumneum) zostaliśmy przyjęci.

Wstąpiłem więc na inną drogę, która mię miała doprowadzić do celu moich życzeń. Pragnąłem bowiem zwiedzić wyższe zakłady naukowe i nauczyć się jak najwięcej, aby stanąć na tym stopniu, na którym stało kilku moich daw-

ných kolegów. Utrzymywałem się z udzielania lekcyj, czasem też pracowałem dla Dra Kluckiego, z którym zawsze w dobrych zostawałem stosunkach. Uczyłem się energicznie, tak, że z łatwością podolałem wymaganiom. Głównym, a właściwie jedynym profesorem moim był Paweł Kajzar, także syn chłopa, a ten był mi zawsze przychylny. Gdy mi ks. Żlik odmówił stypendyum, udzielił mi Kajzar rady, bym się udał do Chmiela, ewang. księdza w Golasowicach na Śląsku pruskim, agenta Towarzystwa Gustawa Adolfa. Byliśmy więc u niego z Kotulą w lutym 1847, przyjął nas dobrze, ale nie dla nas zrobić nie mógł. Kajzar pomimo swojej porywczosci zawsze nam sprzyjał i, gdzie mógł, radził i pomagał. Świadectwo otrzymałem bardzo dobre. W soboty i niedziele odwiedzałem w Kozakowicach matkę i brata Jerzego, który objął gospodarstwo po ojcu, a matka była przy nim we wymówku. Często przybrałem z sobą jakiego kolegę, a podczas wakacyi Stalmacha, a zawsze miałem w domu rodzicielskim jak najlepsze przyjęcie. Niczego nam nie szczędzono i mogliśmy się na kilka dni najeść. Często bardzo odwiedzali mię w Cieszynie matka i brat na przemian i przynosili z sobą zawsze spory węzeł żywności, chleba, sera, masła, pieczek i t. p., co było w domu. Było to dla mnie wielkiem wsparciem, które też sobie cenić umiałem i obecnie wspominam o tem z serdeczną wdzięcznością. Była to zawsze radość dla mnie i niektórych moich kolegów, gdy się pojawił u mnie taki węzełek, bośmy wszyscy sumiennie tak długo sięgali do miski, aż nic nie zostało; a potem — potem zaś jakoś bywało.

VII.

Towarzystwo polskie. Polskie pismo ludowe.

Widząc, jak się wszystko niemieczy, jak nikt z młodzieży naszej, a mianowicie synowie włościańscy, nie poczuwają się do polskości, jak stawiają język i kulturę niemiecką wysoko, a swojskością gardzą, tak że nawet pisać i mówić po polsku zapominają, postanowiłem*) założyć stowarzyszenie między młodzieżą gimnazjalną, któreby miało na celu pielęgnowanie ojczystej mowy i budzenie ducha narodowego wśród młodzieży.

Nie było żadnych środków do rozpoczęcia tego przedsięwzięcia, nie było książek ani też pieniędzy na zakupienie tychże. Z drugiej zaś strony liczyłem na to, że ta nowość pociągnie za sobą młodzież. O tym zamiarze doniosłem eforom i profesorom, aby się nie narażać na odpowiedzialność i niebezpieczeństwa. Z rozpoczęciem działania postanowiłem zresztą czekać aż do rozpoczęcia nowego roku szkolnego, ażeby się zebrały potrzebne do nauki książki.

W kancelaryi Dra Kluckiego zaczęto odtąd pisać poprawnie nazwiska osób jak n. p. Kocur (zam. Kotzur), Patyczek (zam. Patitschek) a co ważniejsza pisać polskie listy do osób nie umiejących po niemiecku**).

Już w r. 1845 wspominał Dr. Klucki***) przy różnych

*) Jako uczeń gimnazjalny.

Przyp. Red.

**) Zdawałoby się, że to jest rzeczą tak naturalną, że o niej wspominać nie warto. A jednak dziś jeszcze znosimy spokojnie obrzydliwe kaleczenie naszych polskich nazw rodowych w urzędowych aktach, jeszcze dziś nie oburzamy się na takie dziwolągi jak Tierlitzko zam. Cierlicko, patrzymy spokojnie na niemieckie napisy na drogowskazach, nie zżymamy się na źle o nas świadczący fakt, że tak polska wieś jak Wisła na pocztce nazywa się tylko Weichsel i t. p.

Przyp. Red.

***) Ojciec żyjącego w Cieszynie adwokata Dra Sobiesława Kluckiego.

sposobnościach o wydawaniu pisma dla naszego ludu w języku polskim, a gdy go 13. grudnia 1845 r. odwiedził ks. Andrzej Żlik, pastor zboru ewangelickiego w Cieszynie, mówiono obszernie o tem piśmie, o jego potrzebie i o trudnościach połączonych z wydawnictwem. Ks. Żlik, według swego zwyczaju, nie oponował wprost, ale miał zawsze swoje „aber“. Wymieniano różne osobistości, jak ks. Kłapsię, dyrektora kameralnego Kalchberga i innych Niemców, którychby można dla tej sprawy pozyskać, ostatecznie jednak nie stanowczego nie uchwalono.

Nieraz i ja też mówiłem z Kluckim o piśmie mającem się wydawać dla naszego ludu. W r. 1847 (17. czerwca) mówił o tem Klucki ze mną w ten mniej więcej sposób: „Dużo o tem myślałem i mówiłem już nawet z ks. Koczym z Ustronia i z ks. Żlikiem, ale to suche latorośle na drzewie słowiańskiem. Mówiłem także z ks. Winklerem z Nawsia, ale i ten nie bardzo by się nadawał. Są zresztą i inne przeszkody. Nie łatwo byłoby uzyskać pozwolenie na wydawanie zupełnie nowego pisma, sądziłem więc, że dobrze będzie wyrobić pozwolenie na przekład gazety rolniczo-przemysłowej, które już mam. Powoli obok tłómaczonych możnaby w tem piśmie pomieszczać także artykuły oryginalne zastosowane do naszych potrzeb, aźby wreszcie same nasze artykuły wypełniały Tygodnik. Cenzor cieszyński Glässer (Kreishauptmann) jest człowiek dosyć gładki, to nie jedno dałoby się przeprowadzić.“

Chodzi także o prenumeratorów. Sam Kalchberg, administrator komory Cieszyńskiej, przyrzekł mi, że dla swoich „poddanych“ wzięłby ze 300 egzemplarzy, ze 200 egzemplarzy rozłożyłbym między Górników i inne osoby, a reszta umieszczałaby się po drobnu. Cena wynosiłaby 1 złr. 30 kr. w. w. rocznie (t. j. 36 kr. mon. konw.) Ale kto miałby być redaktorem. Ja na to czasu nie mam, Pan (t. j. ja, Cinciała), wstąpiwszy na nowo do szkół, także nie wiele. A zresztą

czasy złe. Gdzieby tam teraz wieśniak mógł zebrać 1 złr. 30 kr. w. w., skoro nie ma co jeść. Może w jesieni da się więcej zrobić w tej sprawie." Ja z swej strony także zauważyłem, że czasu bym nie miał, że zresztą nie czuję się na siłach do redagowania pisma, nie mając ani odpowiedniego wykształcenia ani doświadczenia dziennikarskiego.

VIII.

Podróż po Śląsku i do Krakowa. Filozofia w Cieszynie.

Chodziło teraz o to, dokąd się udać po ukończonym roku szkolnym na dalsze studia. Nasi studenci udawali się zwykle na licea węgierskie a następnie do Wiednia na uniwersytet. I ja zamierzałem iść tą drogą, choć brała mnie niekiedy chętka pójść na filozofią do Wiednia lub Lwowa. O Krakowie wtedy nie mogło być mowy, ponieważ jeszcze nie należał do Austrii. Ale sprawa ta nagle inny wzięła obrót. W kwietniu r. 1847 nadeszła z Wiednia wiadomość, że z początkiem nowego roku szkolnego gimnazjum ewangelickie w Cieszynie ma być rozszerzone o Wydział filozoficzny. Wiadomość tę potwierdziła ta okoliczność, iż profesorowie Kajzar z klasy IV., Sittig z klasy III. i Folwarczny z klasy II. pojechali do Wiednia celem złożenia tam egzaminów, aby się mogli ubiegać o posady profesorskie. Podczas tego bezkrólewia uczyli obaj eforowie ks. Żlik i ks. Kłapsia w klasie III. i IV., mnie zaś przydzielono naukę w klasie II., co mi nie było bardzo na rękę, bo dosyć miałem do czynienia z moją nauką i z lekcyami, a tu jeszcze trzeba się było przygotowywać na naukę w klasie II. Postanowiłem w razie zaprowadzenia w Cieszynie od przyszłego roku

szkolnego wydziału filozoficznego pozostać w Cieszynie, mając tu większą łatwość utrzymania się niż gdzie indziej.

Nadeszły nareszcie upragnione wakacje (r. 1847), które dla mnie były tem ważniejsze, iż już występować mogłem jako ukończony gimnazjalista i przyszły filozof. Przybył też Stalmach z Wiednia i inni dawni koledzy, i było z kim o tem i o owem pogadać. We spółkę z Stalmachem odbyliśmy podróż po Śląsku celem bliższego poznania rodzinnego kraju i krzewienia u ziomków poczucia narodowego. Odwiedzaliśmy prawie wyłącznie naszą śląską inteligencję, a gdyśmy gdziekolwiek w ciągu rozmowy potrącili o sprawę narodową, każdy się nam dziwił i był zdania, że należy się nam trzymać języka niemieckiego, który daje człowiekowi naukę i światło, gdy tymczasem Polska dba tylko o katolicyzm, że z niemieckim językiem dalej zajdzie niż z polskim i t. p. Dalszą podróż odbyliśmy do Krakowa, celem nabierania książek polskich dla naszego towarzystwa. Ja znałem już poniekąd Kraków, bo tamże bawiłem w r. 1842 przez 9 miesięcy w księgarni D. E. Friedleina*). Znałem kilka osobistości, mianowicie tych panów, którzy przychodzili do księgarni, a między nimi profesora i bibliotekarza Muczkowskiego, Majera, Jakubowskiego i innych. Zamyślałem więc udać się do nich w nadziei, że od nich lub za ich pośrednictwem będzie można uzyskać niejedną książkę.

Z tym zamiarem obznałomiłem Stalmacha, który zgodził się zupełnie na jego wykonanie. Dnia 14. sierpnia 1847 r. wyszliśmy tedy z Cieszyna, napiwszy się wódki i nabrawszy gruszek do kieszeni. Pieniądzy mieliśmy wprowadzić bardzo mało na tę podróż, która odbywała się naturalnie pieszo, ale byliśmy bardzo weseli i dobrej myśli. Jak się ta podróż odbyła i jakie przyniosła owoce, opowiedziałem po krótkce w swoim przemówieniu na obchodzie jubileuszu pierwszego

*) Ojca obecnego Prezydenta miasta Krakowa.

dwudziestopięciolecia Czytelnicy ludowej w Cieszynie. (Patrz Pamiętnik wydany z tego powodu).

Z początkiem roku szkolnego 1847/8 rozpoczęto wykłady na wydziale filozoficznym w Cieszynie*). W pierwszym roku mieliśmy dwu nowych profesorów, Dra Plucara i Dra Kolaczka, który ostatni atoli niedługo bawił w Cieszynie, bo z powodów politycznych musiał umknąć za granicę. Potem wykładali na 1. roku ks. Żlik, ks. Kłapsia, Kajzar i Sittig. Było nas filozofów dwunastu. Pierwszem naszym dziełem było sprawienie sobie czapek burszowskich (ja sam jeden zatrzymałem swoją rogatywkę z czerwonym, białym i niebieskim paskiem), grubych lasek żółtego koloru i porcelanowych fajek na długim cybuchu z napisem „Prosit“ z przodu i z podpisami wszystkich kolegów z tyłu. Chodziłszy zwykle wszyscy kupą na wykłady i z wykładów, często nucąc jaką burszowską melodyą. Gdyśmy tak szli ulicą nie tak jak dziś ludnego Cieszyna, ludzie stawali i patrzyli na nas: „W Cieszynie filozofia, i tyle naraz filozofów, to rzecz niesłychana!“ Naturalnie, żeśmy nie patrzyli książek, ale burszowstwa, komersów, pijatyk i kawiarni, jeno na wykłady uczęszczaliśmy pilnie, po za kolegiami nikt nas nie doglądał.

IX.

Towarzystwo polskie. Druga podróż do Krakowa.

Aby towarzystwo narodowe wprowadzić w życie, wystosowałem odezwę do filozofów jakoteż do uczniów wszystkich klas gimnazjalnych, wyjaśniającą cel Towarzystwa, któremu, dla uniknięcia podejrzeń, nadałem niewinną nazwę: „Towarzystwo uczących się języka polskiego na ewangelickiem

*) Przy gimnazjum ewang.

gimnazjum w Cieszynie^a i oznaczyłem dzień, w którym miano się zgromadzić. Zebrało się dużo uczniów, tak, że klasa IV., w której zgromadzenie się odbyło, była przepełniona. Ogółem zapisało się około 50 uczniów na członków, którzy obowiązali się nie tylko chodzić na wykłady języka polskiego, lecz pracować także w domu i mówić po polsku, tudzież płacić miesięcznie po kilka centów na potrzeby Towarzystwa, zwłaszcza o ile możliwości na zakupno książek. Książki, któreśmy mieli, prędko się wyczytały, nie były też wszystkie odpowiednie dla nas. Stalmach bardzo pilnie zbierał książki w Wiedniu, ale te były wyłącznie czeskie, słowackie, serbskie i t. p. Powiększał się więc wprawdzie nasz księgozbiór, ale nam zawsze brakowało odpowiednich polskich książek. Ponieważ z bardzo szczupłych dochodów Towarzystwa nie można było nabywać książek, postanowiliśmy te dochody powiększyć w ten sposób, że puszczano cztery dzieła polskie otrzymane podczas pierwszej wycieczki do Krakowa na loteryą z tym warunkiem, że każdy wygrywający jakie dzieło, ma je darować naszej bibliotece z swoją dedykacją. Listę loteryjną (znajdującą się w „Silesiaca“, bardzo ciekawą) puściłem w obieg, i w krótkce wszystkie numery (razem 90) były obsadzone. Tak uzyskaliśmy kilkanaście reńskich na zakupno nowych książek.

Ale nie wiele dało się kupić za tę naszą skromną gotówkę, postanowiłem tedy odbyć drugą podróż do Krakowa, aby tamże znowu jaki zapas książek uzbierać. Ale skąd tu wziąć pieniędzy na taką daleką i kosztowną podróż? Nie było innej rady, tylko pożyczyć. A dawniej jakoś prędzej jeden drugiemu na słowo pożyczył jak teraz. Zaciągnąłem więc pożyczkę u Dra Kluckiego i Michała Jančo, Słowaka, bawiącego w Cieszynie, w ogólnej sumie 20 reńskich, a że sam posiadałem 10 reńskich, więc zebrał się fundusz na drogę w kwocie 30 złr. Była ta moja podróż

połączona z różnemi trudnościami, o których dziś, kiedy wygodnie w niespełna 4 godzinach można się dostać do Krakowa, ludzie nie mają wyobrażenia. Już uzyskanie paszportu było nader trudne, a wiza kreisamtu w Cieszynie jeszcze sprawa trudniejsza, gdyż Kreishauptmann Gläser nie chciał paszportu podpisać, sądząc, że podany cel podróży (Ausbildung) nie jest prawdopodobny, bo za sześć dni, na które opiewał paszport, nie można się wykształcić. Pojechałem tedy. Myślałem, że koleją przez Prusy prędzej i taniej dostanę się do Krakowa niż na Białą okazyą lub pocztą, ale się zawiodłem srodze. Jechałem tedy do Morawskiej Ostrawy (w niedzielę 13. lutego 1848), a przenocowawszy tamże, chciałem przez Bogumin udać się do Prus i dalej do Krakowa. Ale kolej nie szła z Ostrawy do Bogumina z powodu zerwanego mostu. Udałem się więc do Świniowa (Schönbrunn), a nie znalazłszy tam taniej okazyi do Opawy i nie mogąc odbyć drogi pieszo dla odwilży i błota, wróciłem do Mor. Ostrawy, a wieczór pojechałem pocztą do Opawy. Tam było trzeba czekać do wieczora, aby jechać do Raciborza, gdzie znowu nocowałem. Następnego dnia pojechałem rano koleją do Koźła, po dwu godzinach do Mysłowic, stąd zaś po czterech godzinach do Krakowa, gdzie stanąłem o 9. godzinie wieczór. Tak w ten czas wyglądała podróż z Cieszyna do Krakowa!

W Krakowie przenocowałem u Filipa na ul. Sławkowskiej i zapłaciłem za nocleg na kanapie wraz z śniadaniem 7½ kr. mon. konw., co oczywiście było tanio. Poszedłem do bibliotekarza Muczkowskiego, do Adama Gorczyńskiego, wreszcie do Józefa Łepkowskiego, późniejszego profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, który mię przyjął jak przyjaciela. U żydów na Szpitalnej kupiłem kilka książek, bo od wymienionych powyżej panów nie wiele co dostałem. Gorczyński był ze mną w księgarniach Baumgartena, Wilda i Czecha, wyszukał tam kilka małych książeczek i wręczył

mi je. Przeor Piarów ks. Jakubowski ofiarował mi z jakie 70 sztuk starych kalendarzy, które kazał przynieść od Czecha i te kazał rozdzielić pomiędzy lud, obiecując dalszą pomoc na przyszłość. Z Gorezyńskim byłem u Wiszniewskiego, który ofiarował mi książkę o rozumach ludzkich. Wieczorem byłem w teatrze, zachwyciałem się lokalem i grą artystów i marzyłem, byśmy też w Cieszynie mogli mieć kiedy coś takiego. U Łepkowskiego poznałem się z Jerzmanowskim i innymi młodymi literatami. Byłem także u ks. Otremby, do którego miałem list polecający od ks. Koczego z Ustronia, u prof. Czerwiakowskiego i Henniga. W niedzielę wyjechałem z nagromadzonymi w Krakowie skarbami na Kalwaryę i Białą do Cieszyna, gdzie stanąłem we wtorek. Cała podróż trwała 10 dni.

X.

Rok 1848. Tygodnik Cieszyński.

Nadeszły dni marcowe r. 1848 a z nimi rewolucya wiedeńska i konstytucya. Najrozmaitsze wieści nadchodziły z Wiednia. Zatrzymywano podróżujących pocztą (bo kolei jeszcze nie było) z Wiednia, a ci z postawionej beczki lub też z wozu pocztowego opowiadali w dłuższych, lub krótszych przemówieniach najrozmaitsze, często nieprawdziwe rzeczy o wiedeńskiej rewolucyi. Gdy nadszedł manifest konstytucyjny z Wiednia, musiałem go zaraz na polski język przetłómaczyć i został w niemieckim i polskim języku z galerii wieży ratuszowej przeczytany ludności, zapełniającej prawie cały rynek, poczem nastąpiła iluminacya miasta, ogromny fakelzug, przemówienia i ciągle nieprzerwywające się wiwaty. Niebawem zaczęły nadchodzić z Wiednia najrozmaitsze listy ulotne, opisujące w prozie i poezyi, rewolucyą wiedeń-

ską i walkę o wolność pisma wyjaśniające i pouczające lud, co to jest konstytucya i jakie prawa w sobie zawiera. Takich pism ulotnych polskich i niemieckich posiadam spory tom. Nalegano na mnie, abym dla naszego ludu napisał także jaką broszurkę, żeby się cokolwiek o konstytucyi dowiedział. Napisałem tedy „Nowości niesłychane dla śląskich chłopów“ w formie rozmów między dwoma wieśniakami. Broszurka ta w pierwszym wydaniu drukowaną była szwabachem, w drugim polskimi czcionkami; rozprzedaż zajął się księgarz Wäscher w Cieszynie. Była to pierwsza broszura treści politycznej na Śląsku. Druga broszura, — której autorem jest podobno ks. Winkler z Nawsia — wydana została pod tytułem: Poznaczenie życzeń siedlaków zgromadzonych w Cieszynie dla wolenia wysłańca do Opawy 27. maja 1848. Drukowane u Prochaski w Cieszynie.

Niezaługo utworzono, tak jak prawie we wszystkich miastach, i w Cieszynie gwardyę narodową. My „filozofi“*) chcieliśmy także należeć do niej, ale nie pojedynczo, lecz na wzór Wiednia chcieliśmy tworzyć osobny oddział akademicki. Ze strony komendy nie robiono nam żadnych trudności, owszem jużśmy raz wystąpili w mundurach i z gwerami, chociaż nie było gwerów, tylko ich dla nas dwanaście różnego kalibru nabierano. Ale kolegium profesorskie sprzeciwiło się naszemu wstąpieniu do gwardyi narodowej. Było to wielką obrazą naszego studenckiego honoru i postanowiliśmy zrobić „truc na truc“. Pierwszym krokiem było wystosowanie pisma do profesorów, w którem uskarżaliśmy się, że się profesorowie nie obchodzą z nami, jak się z akademikami obchodzić powinni, i że nam zabraniają wstąpić do gwardyi narodowej, kiedy akademicy w Wiedniu

*) Dawniej gimnazyja miały tylko 6 klas (nie 8 jak dzisiaj), a do studyów uniwersyteckich przygotowywały jeszcze 2 klasy „filozofii“ zwykle połączone z uniwersytetami.

głównie wolność wywalczyli, a że z tych powodów nie będziemy uczęszczać na kolegia tak długo, póki ta sprawa nie będzie dla nas korzystnie załatwiona. I rzeczywiście nie byliśmy trzy dni na prelekcyach, a gdy się wieść rozniosła, że chcemy Cieszyn opuścić i wywędrować do Węgier, zwołał mnie ks. Żlik do siebie, a po rozmówieniu się z nim, zwołani zostaliśmy na pewną godzinę do lektoryum, dokąd wszyscy profesorowie przyszli i tam załatwiliśmy rzecz za wspólnem porozumieniem. Ja wprawdzie byłem innego zdania co do tego strejku, ale dla utrzymania solidarności między studentwem, trzymałem razem z niem.

Ważniejszem od gwardyi narodowej i sporów z profesorami było dla mnie pismo dla ludu mające wychodzić w Cieszynie. Wobec konstytucyi nie trzeba już było pozwolenia na wydawanie pisma ani też kaucyi, co dopiero później nastąpiło. Kto powziął ostateczną decyzją do wydawania pisma, czy Klucki czy ja, już nie pamiętam. To, co o tem pisze Stalmach w „Obronie własnej“ (odbitka z „Gwiazdki Ciesz.“ str. 42), że „Gwiazdka“ jest jego pomysłem, że on był jej redaktorem od samego początku, a ja tylko figurantem podstawionym przez Kluckiego, nie zgadza się z prawdą. Po ostatecznej decyzji napisałem odezwę w sprawie wydawania pisma i rozesłałem ją po Śląsku i Galicyi, prosząc o prenumeratę.

Odezwa ta rozpoczynała się od słów: „Pękął czarny obłok“. Pierwszy numer „Tygodnika Cieszyńskiego“ miał wyjść 6. maja 1848 r

Nieprzyjaciele Kluckiego oskarżyli go o nieprzyjaźń dla państwa austriackiego, o podburzanie ludu na polu narodowem, o zdradę stanu i t. p. Czy ta skarga przeciw niemu została wzniesiona, czy też tylko zbierano na nią podpisy, tego już nie pamiętam, ale to wiem z pewnością, że Klucki z tego powodu pojechał do Wiednia dla dania wy-

jaśnień w odpowiednich ministerstwach.*) Klucki wyjechał do Wiednia z początkiem maja, wrócił zaś 8. maja. Tymczasem wyszedł pierwszy numer Tygodnika, a ponieważ nie zostawił mi żadnych instrukcyj, byłem w niemałym kłopotcie, ale numer wydałem. Zamiast artykułu wstępnego umieściłem odezwę prenumeracyjną Stalmach, Kotula i Heczko przysłali mi już dawniej kilka artykułów. Umieściłem więc jeden artykuł Stalmacha, następnie kilka bieżących wiadomości, a gdy jeszcze zostało pół stronicy próżnej, umieściłem artykuł teologa Heczki z Wiednia: „Co żyd, to żyd“.

Tak ujrzał światło dzienne pierwszy numer „Tygodnika Cieszyńskiego“. Gdy przyniesiono cały nakład do kancelaryi odliczyłem egzemplarze, które według umowy z Kluckim miał prenumerować administrator Kalchberg dla swoich „poddanych“, ale Kalchberg je zwrócił z listem, że pismo to nie odpowiada potrzebom naszego ludu i nieusprawiedliwia pokładanych w niem nadziei. Klucki, wróciwszy z Wiednia, zganił mię za umieszczenie artykułu: „Co żyd, to żyd“, który Niemcy będą tłómaczyć: „Ein Jud bleibt Jud“ i wyzyskają go na niekorzyść naszego pisma, następnie zganił mię, że na pierwszym numerze nie podpisałem jako redaktor, wreszcie, że nie czekałem jego powrotu z Wiednia gdyż byłby sam poszedł do Kalchberga i prosił go o poparcie naszego pisma, choć wiem, że Kalchberg pisma nie przyjął głównie dla tego, że się z nim Klucki przed wyjazdem pokłócił o sprawy narodowościowe.

Że Klucki nie pojechał do Wiednia dla porozumienia się z Stalmachem w sprawie pisma, wynika z listu Stalmacha pisanego do mnie 4. maja 1848, a więc na dwa dni przed wyjściem pisma. „Słyszawszy, że tu miał Klucki przybyć odwiedziłem go natychmiast. Dzisiaj mówiłem z nim,

*) Że Kluckiego rzeczywiście oskarżono o jakieś tajne zamiary, dowodzi jego „Oświadczenie“ wydrukowane w Cieszyńsku 15. czerwca 1848 r. („Silesiaca“).

ale krótki czas tylko.“ Że Stalmach nie zakładał „Tygodnika“ i nie był jego redaktorem od 1. numeru, wynika też z jego listu pisanego do mnie z Wiednia dnia 13. maja 1848: „Żał mi bardzo, że się tak źle macie z „Tygodnikiem“, ale czy już zaprawdę wyszedł?... Wszakżem się spodziewał od Łaski waszej, że mi też jeden egzemplarz, jako biednemu dopisowaczowi darujecie a przyszlecie, bo bynajmniej dotąd nie zdołam się przedpłacić“, a podając mi do wiadomości, co tam w Wiedniu o „Tygodniku“ mówią, pisze do mnie w liście z Wiednia z dnia 1. czerwca 1848: „Więc tutaj to dla Ciebie najważniejsze: „Tygodnik śląski“ bardzo się wszystkim Polakom podoba i wszystkim Słowianom także. Bardzo są ucieszeni nad tem pismem i tylko niektórzy uszczerbek języka polskiego ich obraża, ale nie wiele na to uważają w tej nadziei, że śląski język z czasem się poprawi. Ja się owszem także gniewam na redaktorów, że nie poprawiają języka.“ (Patrz zbiór listów w „Silesiaca“). I z listów Jana Bujaka pisanych do mnie ze Lwowa widzieć można, że Stalmach nie był inicjatorem „Tygodnika Cieszyńskiego“. Jan Bujak pisze w swym liście z dnia 28. maja 1848 (p. „Silesiaca“): „Na wczorajszym dniu doniósł mi przyjaciel Paweł (Stalmach), że „Tygodnik“ wychodzi już od 6. maja. Powzięliśmy wprawdzie tę wiadomość tu we Lwowie już przeszło dwa tygodnie, i już w ten czas z powszechnym powitano to nowe zjawisko zapalem i prawdziwym uniesieniem... Z miłym wrażeniem dowiaduję się od niego, że p. Plucar (profesor matematyki i fizyki na wydziale filozoficznym w Cieszynie) podaje Ci w układaniu czasopisma dostateczną pomoc. Proszę oświadczyć temu zacnemu sprawie naszej popieraczowi moje uszanowanie i należną podziękę... Blisko dwa tygodnie jak Gazda (profesor) odebrał zlecenie, aby nam zamówił egzemplarz Twojego dziennika a dotąd nie nie nadchodzi.“ Gdyby Stalmach był inicjatorem „Tygodnika“, Bujak nie byłby pisał „Ci“ i „Twojego“ dziennika.

Rozpoczęcie wydawnictwa pisma było jednak z mej strony szaleństwem. Nie było artykułów, bo z kąd mieli się wziąć w ten czas pracownicy? Mimo to jednak sprawa jakoś się udała. Gdy Stalmach jako już ukończony teolog przybył na wakacye do Cieszyna, mówiłem z nim, czyby nie przyjął redakcyi „Tygodnika“, dodając nawet, że dla tego nie podpisywałem się jako redaktor, by jemu ten zaszczyt zostawić. Ale Stalmach nie chciał się zgodzić. Ja tymczasem pragnąłem się wybrać do Krakowa na dalsze studia, więc dalsze prowadzenie pisma musiało być dla mnie ciężarem.

Stalmach zaś byłby chętnie przyjął posadę proboszcza, ale jej nie było. W gimnazyum także nie było posady wolnej, zresztą księża Żlik i Kłapsia nie byliby go przyjęli, choćby dla tego, że jako Polak musiał się im wydawać niebezpiecznym. Wreszcie udało mi się nakłonić Stalmacha do objęcia redakcyi, ale gdy mu pokazałem korektę numeru „Tygodnika“ z wydrukowanym jego nazwiskiem, zgniewał się na mnie i redakcyi przyjąć nie chciał, tak że ten numer wyszedł bez podpisu redaktora. Ostatecznie jednak Stalmach redakcyą przyjął, Klucki zgodził się na to, a ja odzyskawszy swobodę, mogłem pomyśleć o wyjeździe do Krakowa na dalsze studia.

XI.

Drugi pobyt w Krakowie. Wydawnictwo dla Śląska.

Pożegnałem Cieszyn z żalem, bo bardzo się już do niego przywiązałem! W Krakowie umieściłem się w kamienicy niejakiego Filipa Schneidra na ulicy Sławkowskiej, aż gdzieś na czwartem piętrze. Była to stancyjka na poddaszu, jak na studenta wcale jeszcze wygodna, choć bardzo wietrzna. Gorzej było, gdy nadeszła zima, bo, gdy w pokoju nie było

pieca, zacząłem marznąć, aż nareszcie gospodarz Filip wyznaczył mi jakiś inny pokoik.

Przybyłem do Krakowa za wcześnie, bo (24. października) jeszcze ani mowy nie było o wykładach. Dopiero kiedyś pod koniec listopada rozpoczęły się wykłady filozofii, literatury polskiej i t. d., ale już też wkrótce poczęto myśleć o świętach Bożego narodzenia. Z przedmiotów nadobowiązkowych wybrałem bibliografią, gramatykę słowiańską, język rosyjski i rysunki. Miałem także zamiar kształcić się w rysunkach i malarstwie. Udałem się w tym celu do Stadlera, dyrektora szkoły malarskiej, który przyjął mię nadzwyczaj dobrze. Przez rok pracowałem w jego szkole, nie wiele się nauczywszy, gdyż nie miałem ani czasu ani odpowiednich zdolności.

Podczas mojego pięcioletniego pobytu w Krakowie, wszystkie przedmioty były wykładane po polsku, tylko prof. Fierich wykładał administracyą po niemiecku. Później w skutek wyższego polecenia zaczęto wykładać po niemiecku. Przygotowawczym krokiem do tej zmiany była dymisya kilku profesorów, którą otrzymali dnia 1. stycznia 1853.

Profesorami tymi byli: Pol, profesor geografii, sławny poeta, Małecki, profesor filologii, znany autor najbardziej rozpowszechnionej gramatyki polskiej, a na wydziale prawniczym Helcel, profesor prawa polskiego i Zielonacki, profesor prawa rzymskiego. Najbardziej żałowaliśmy wszyscy profesora Helcela, gdyż wykład jego był bardzo zajmujący. Wszyscy ci profesorowie byli dobrymi Polakami i należeli do najzdolniejszych i najbardziej lubianych profesorów.

Ja byłem pierwszy ze Ślązaków, którzy się udali do Krakowa na uniwersytet. Kraków bowiem do r. 1846 (do tak zwanej rabacyi galicyjskiej) był niepodległy i neutralny, był więc dla nas zagranicą, a zagranica była w ten czas co innego niż dziś. O Polsce nie wtedy nie wiedzieliśmy, bo ani w szkole nie się o niej nie uczono, a gazet nie było, z którychby się można było czegoś dowiedzieć. Nic nas też

Ślązaków nie ciągnęło do Polski. Gdy Jan Bujak, Wiślanin, po ukończeniu filozofii na Węgrzech, udał się do Lwowa na wydział prawniczy, ludzie się temu dziwili, że nie do Wiednia pojechał, lecz do Lwowa, uważając to za dowód niepojętej odwagi. I mnie się dziwiono, że zaraz po rewolucyi wybrałem się do Krakowa. Ale ktoby tam zważał na ludzkie gadania! Nie tylko sam poszedłem, ale chciałem jeszcze innych kolegów pociągnąć za sobą, co było trudno. Tylko Jan Fox z Nierodzimia, po ukończeniu filozofii w Pradze, pociągnął za mną, ale biedak przy pożarze Krakowa (18. lipca 1850 r.) zwichnął nogę i po dłuższej chorobie zmarł w kwietniu 1851 r. Nie mogę odżałować tak wielkiej straty, gdyż był to młodzieniec rokujący wielkie nadzieje, wybitnych zdolności, zacnego charakteru i gorąco kraj swój i lud, z którego pochodził kochający. Spoczywa w ziemi rodzinnej przy kościółku nierodzimskim. Dalsze moje starania o skierowanie Ślązaków do Krakowa nie udały się. Jan Santarius (były notaryusz w Boguminie, umarł 21. czerwca 1895), oświadczył mi w liście z dnia 7. października 1851, że stosując się do woli ojca, musi jechać do Wiednia. Pomimo, że w roku 1847/8 należał do Towarzystwa uczących się po polsku, nigdy nie był naszym. I inni nie poszli za mną. Dziś pod tym względem lepiej.

W Krakowie poznałem się z poetą Lenartowiczem, bywałem też u niego często. Nazywał mię kochanym bratem i chciał, bym go również tak nazywał. Z Cieszyna już znałem się z Adamem Gorczyńskim, w Krakowie zawarłem znajomość z Jerzmanowskim, późniejszym sekretarzem Towarzystwa rolniczego krakowskiego, z którego biblioteki nie tylko ja skorzystałem, lecz także nasza biblioteka cieszyńska. Najbardziej zbliżyłem się do poety Wincentego Pola, który też czas jakiś był profesorem uniwersytetu.

Do przyjemności moich należały koncerty i teatr. Słyszałem tu gitarzystę Szczepanowskiego, fortepianistę Kąt-

skiego i skrzypka Wieniawskiego. Z kolegami odbywałem wycieczki w okolice Krakowa, najchętniej do Bierzanowa, gdzie mój kolega gimnazjalny Stonawski był zarządcą dóbr. Posyłał po mnie i Foxa, a po tegoż śmierci już tylko po mnie, wózek do Krakowa, i często niedziele spędzałem u niego nader przyjemnie. Niestety nie zestarzał się Stonawski i w kilka lat po ukończeniu moich nauk w Krakowie umarł jako kawaler. W domu zajmowałem się nauką, a w chwilach wolnych muzyką, grą na fortepianie, flecie lub gitarze. Wszystkiego umiałem po trosze, ale razem wzięwszy za mało. Fortepian dawnej daty w kształcie podłużnego stołu na czterech nogach od Häuslera z ulicy Floryańskiej nie był oczywiście świetnym instrumentem, ale dla studenta wystarczał. Czasem też zabierałem się do pisania wierszy, najczęściej humorystycznych. O szanownych skąd inąd Skoczowianach słyszałem był w dzieciństwie, że nie mając za co kupić mięsa, zadawałają się kiszka (kwaśnem mlekiem) z ziemniakami, ale dla zamaskowania tego niedostatku, wychodzą przed domy i dłubią żdźbłem w zębach, aby myślano, że panowie mieszczenie jedli na obiad mięso, nie zaś ziemniaki z mlekiem jak chłopci. Napisałem więc następujący wierszyk:

Skoczowscy mieszczenie tak się nadymają,
Po obiedzie z kisзки zęby wypychają.
Mają też tam bilard aż z trzema nogami,
Czem kule szturchają? Od pieca willami . . .

Napisałem też dla Skoczowian rymowaną ustawę o polowaniu i przywilej parowej żeglugi na wsi i jakąś kionomachią (walkę psów) w sześciu pieśniach.

Muszę też tu wspomnieć o strasznym pożarze Krakowa w r. 1850. Byłem u pp. Nurkowskich na ulicy Wiślniej i mieliśmy właśnie, była godzina pierwsza, zasiadać do obiadu, gdy strażnik z wieży Maryackiej dał znak, że się

pałą młyny. Rozbiegliśmy się wszyscy w jednej chwili. Ja, spakowawszy w domu swoje manatki do kufra, po chwili byłem znów na Wiślniej celem ratowania zagrożonego domu. Wdrapałem się ze strychu przez tak zwany dymnik na dach i na kalenicę, gdzie się dopiero przekonałem, jak ta wyprawa w obec strasznie spadzistego dachu była niebezpieczna. Paliła się ulica Gołębia i kościół grecki, za chwilę przeniósł się ogień na dom pod zajęczkiem i dom Wąsowiczowej na ulicy Wiślniej. Trudno było ratować, bo nie było dostatecznie wody pod ręką, zresztą nie wiele ludzi stawilo się do ratunku. Wkrótce pożar ogarnął całą Wiśną po lewej ręce i Gołębią. Na dachu, gdzie stałem, było tak strasznie gorąco, że musiałem sobie twarz, ręce i nogi wodą zlewać. Dom, który ratowałem, był ważny, bo gdyby on się był spalił, łatwo ogień mógł się przenieść do bardzo zagrożonego uniwersytetu, do biblioteki, do kościoła św. Anny i do pałacu Potockich a stamtąd dalej na rynek. Nas brocił dom narożny przy ulicy Wiślniej i Gołębiej, gdzie w ten czas był urząd podatkowy. Był kryty blachą i miał dużo obrońców. Wytrwałem w tej niemiłej pozycji na dachu zagrożonego domu aż do wieczora. Spaliły się wtedy cztery kościoły, między nimi dwa największe i najozdobniejsze, t. j. dominikański i franciszkański, i przeszło sto kamienic.

Za pośrednictwem prof. Pola otrzymałem miejsce nauczyciela domowego (guwernera) u Eugeniusza hr. Dzieduszyckiego. Było to dla mnie ważne, raz że mając zapewniony byt, mogłem się swobodnie poświęcać naukom, a z drugiej strony miałem sposobność przyswojenia sobie pewnej ogłady towarzyskiej. W październiku 1851 r. objąłem obowiązki. Byłem towarzyszem Mieczysława, syna hr. Eugeniusza, miałem z nim uczęszczać na uniwersytet na wydział prawny, pomagać mu w nauce i ćwiczyć go w łacinie. Nadto miałem udzielać lekcyj 14-letniej hrabiance Helenie w historii, geografii, języku niemieckim i t. p.

W domu Dzieduszyckich bywały częste odwiedziny. Najczęstszym gościem bywał tam Wincenty Pol. Opowiadania jego były bardzo zajmujące. Czytywał nam ustępy z swego Mohorta, którego treścią tak się zachwyciłem, że całych ustępów nauczyłem się na pamięć. Bywał także u Dzieduszyckich p. Szyryn, szlachcic i właściciel dóbr z ostatnich kresów Galicyi. Nabył on pałac na Wesołej (teraz kolej zabrała część ogrodu), ale w nim nie mieszkał, ponieważ groził upadkiem, lecz w oficynach. Ubierał się po polsku, nosił pas i konfederatkę, co w ten czas było rzeczą niebezpieczną, bo można się było za to dostać do kozy. Był usposobienia ponurego, ale gdy mu się rozwiązały usta, umiał opowiadać. Skupował rozmaite zabawki i igraszki dla małych i wielkich dzieci. Gdy otworzył swoje pokoje, składy i magazyny, to się przedstawiał cały bazar przedmiotów nowych pstrobarwnych, same zabawki. Tysiące złotych włożył w ten towar bez wartości, lubiał pokazywać te swoje cacka i cieszył się, gdy się podobały. Bywali u Dzieduszyckich także Górczyński, malarz Suchodolski i młody Grottger, chłopak dziesięcioletni, późniejszy sławny malarz, który już w ten czas odznaczał się nadzwyczajnym talentem malarskim. Z młodym hrabią żyłem w dobrych, przyjaznych stosunkach. Rozmawialiśmy często o Śląsku. Obznajomiłem go gruntownie z całym położeniem naszego kraju i przedstawiłem mu krzywdę, której kraj doznaje i radziliśmy, coby dla tego Śląska można zrobić, a młody Mieczysław całym sercem pokochał nasz kraj, przyrzekając, że będzie zawsze o nim pamiętał. Zajął się też po ukończeniu studiów „Gwiazdką Cieszyńską“, a pomału także naszymi Towarzystwami, o czem świadczą liczne jego listy do mnie pisane. Niestety śmierć zabrała go zawczasie. Kraj nasz stracił w nim wiernego i życzliwego przyjaciela. Z Dzieduszyckimi odbywałem podróże po Galicyi, tak n p. w lipcu 1852 bardzo zajmującą wycieczkę do Szczawnicy i Szmeksu

na Węgrzech, zaś w innem towarzystwie (Prof. Pol i około 60 akademików) do Morskiego Oka.

Życie koleżeńskie wśród akademików krakowskich mało było rozwinięte. Spotykano się tylko na wykładach, po za którymi każdy żył dla siebie. O towarzystwach, bractwach, burszenszaftach ani mowy nie było. Nie było także żadnych komersów. W roku 1851/52 zanosilo się wprawdzie na za-
wiązanie „Towarzystwa prawniczego“, dla którego wypracowałem statut, ale nie przyszło do skutku. Tylko założona w r. 1851 (głównie z dochodu balu akademickiego) Biblioteka słuchaczy prawa poniekąd nas łączyła. Miała ona w końcu r. 1851/2 74 tomów i broszur 16 a zarządzał nią wydział, do którego i ja należałem, pod przewodnictwem prof. Dunajewskiego, późniejszego ministra. Biblioteka ta w r. 1891 obchodziła 40-letni jubileusz.

Akademicy krakowscy prowadzili życie bardzo przy-
zwoite i przykładowe pod każdym względem.

Podczas swoich studyów krakowskich słuchałem także wykładów języka rosyjskiego prof. Macherzyńskiego, będąc nieraz jedynym jego uczniem (najwięcej bywało ich 10), uczyłem się także fechtunków i tańców.

Ukochany Śląsk zawsze miałem na pamięci. Zachęcałem naszą młodzież do udawania się na studia do Krakowa, wpływałem na Cieszyńskich studentów, by zajmowali się towarzystwem uczących się języka polskiego, co roku też przywoziłem dla biblioteki trochę książek polskich. Zbieranie książek nie było łatwe. W r. 1852 (22. czerwca) wniosłem podanie do profesorów Wydziału filozoficznego, prosząc o wspieranie biblioteki cieszyńskiej (przy gimnazjum ewangelickiem), ale odpowiedzi nie otrzymałem. Staralem się też o „Gwiazdkę“. Stalmach prawie co tydzień pisał, abym się starał o artykuły i prenumeratę. Załatwiałem też dla naszych w Cieszynie różne interesa, n. p. starałem się o kostyummy dla amatorów i t. p. Stalmach nieraz bardzo

natarczywie domagał się artykułów i prenumeraty, tak że wreszcie musiałem mu odpisać dość ostro: „Miałbym sobie do wyrzucenia, gdybym sądził, że załatwiając sumiennie i akuratnie Twoje niezliczone zlecenia, czynię to dla Twojej osoby i Twojego interesu, ale sądzę, że co czynię w interesie „Gwiazdki“, to czynię dla Ciebie i dla kraju, który tak serdecznie kocham. Tak też dalej, nie zważając na osobiste sprawy, postępować będę. Ponieważ zaś straciłeś, jak się wyrażasz, zaufanie do mnie i zrywasz ze mną wszelkie stosunki, honor mi nakazuje, abym i ja to samo uczynił (23. marca 1853).“ Opamiętał się Stalmach po tym liście, ale nie na długo. Był zresztą rzeczywiście w trudnem położeniu, nie zupełnie bez swojej winy, gdyż porzucił Kluckiego, który ponosił kosztą druku.

W r. 1852 starałem się w Krakowie o wydanie pisma zbiorowego na korzyść dotkniętej głodem ludności śląskiej. Dr. Klucki pisał do mnie przed Wielkanocą, że głód się u nas szerzy i wzywał do urządzenia w Krakowie składek. Pol podał mi myśl wydawnictwa dzieła, przyrzekając swój udział, a zwłaszcza miał napisać „Geograficzny opis Śląska“. Nadto miały być w tym dziele następujące prace: Cinciała. Żywot św. Jadwigi. Pieśni śląskie. Bielowski. Henryk pobożny. Janota, Łepkowski, Antoniewicz, Eug. hr. Dzieduszycki dowolne artykuły. Łepkowski, Krótki rys historii Śląska. Kulawski, Piastowie ślascy. Miecz. hr. Dzieduszycki, Bitwa pod Lignicą. Miano także przedrukować niektóre artykuły z „Przyjaciela Ludu“.

Geograficzny opis Śląska miał być umieszczony na czele. Nagliłem też strasznie W. Pola, pomagając mu przy przepisywaniu — wreszcie za jakie 6 czy 8 tygodni artykuł był skończony i składał się z 1½ arkusza. Oprócz opisu była do dzieła przeznaczona Odra, dawniejsza praca W. Pola.

Prof. Kulawski pozwolił przedrukować dawniejsze swoje prace „Ostatni Piastowie na Cieszynie“ i „Henryk

Pobożny". Pędziłem z temi pracami do cenzora, bo czas naglił, a tu wszystko się przewlekało. Nie było oczywiście funduszków na druk, a W. Pol poradzić na to nie umiał. Udałem się do zacnego rektora uniwersytetu Majera, który poradził książkę drukować w drukarni uniwersyteckiej, że się później po rozsprzedaży pierwszych egzemplarzy drukarni opłaci. Od ogłoszenia prenumeraty mi odradzano. W drukarni nowe trudności. Zarządca oświadczył mi, że zecerów nie ma, a dużo jest roboty urzędowej, że może wydrukuje później z końcem czerwca. Tymczasem przyroda sama zapobiegła głodowi, a ponieważ życzliwi przyjaciele dobrze obznajomieni z rozsprzedażą takich wydawnictw bardzo mi odradzali ryzykownego bądź co bądź wydawnictwa, cała rzecz musiała upaść. Dzieło to, gdyby było przyszło do skutku, byłoby zawierało między innymi oprócz wymienionych już prac Pola, Kulawskiego, Cinciały (Pieśni ludu śląskiego) jeszcze Jerzmanowskiego: Starostowie Zatorscy i Janoty: O pisarzach prawa śląskiego.

Na wstępie rozprawy prof. Pola miał być umieszczony wiersz:

Odro graniczna!

Odro prześliczna!

Siostrze, co bieżysz młodszych Piastów krajem,

My tobie wdzięcznie wszystką Wartę dajem,

A ty, by gniewna, jedno nas pominiesz,

I nie kochana na kraj świata płyniesz...

(Treny słowiańskie).

Skończyło się tedy na niczem! Szkoda pracy i gorliwych zachodów.

XII.

Wędrówki po Śląsku.

Wakacye spędzałem zawsze w Cieszynie, mieszkając albo u Dra Kluckiego albo u Stalmacha, któremu pomagałem przy redakcyi. Dla poznania kraju rodzinnego odbywałem wycieczki po Śląsku. I tak pod koniec sierpnia r. 1850 wybrałem się na zachód przez Grodziszczce, Będowice, Szumbark, Szonów, Pietwałd, Orłowę i t. d. W Grodziszczu skarżyła się żona nauczyciela, że ona i świnia są chore. W Będowicach budowano właśnie wieżę. Byłem na cmentarzu ewangelickim, aby obejrzyć napisy na pomnikach. Dwa marmurowe miały napisy niemieckie, ks. Bartelmusa i p. Kasparkowej, żony dziedzica, wszystkie inne były polskie. W karczmie, gdzie zanocowałem, słyszałem niektóre słowa pieśni:

„Uciekej Wałachu, bo cie chyci gorál,
A jak ciebie chyci, będzie tobą orál.“

W Orłowej zwiedziłem kościół katolicki Benedyktynów. Według podania, gdy książę Waclaw był z małżonką swoją na polowaniu w gęstych lasach w okolicy dzisiejszej Orłowej, pokazał się im siedzący na drzewie orzeł z hostyą w dziobie. Księżna zlekła się i porodziła syna Kazimierza, a książę kazał las wyciąć, wybudował tam kaplicę i założył osadę „Orłowę“ (od orła). Książdz był Czech, kazania były czeskie, nagrobki na cmentarzu czeskie, choć lud na wskroś polski, a choćby całą świeczkę spalił, toby tam Czecha nie znalazł. Niedaleko fary było jakieś słone źródło, do którego także było przywiązane podanie. W wrześniu odbyłem wycieczkę w Strumińskie. W Wiślicy dowiedziałem się od chłopca polskiego, że u nich „učitel“ polskie dzieci uczy po

czesku, a gdy ksiądz przyjdzie do szkoły, dzieci muszą „rzekać“ Ojcie nasz po niemiecku. Na cmentarzu napisy czeskie (!!) i niemieckie. Dostałem się do Strumienia. Ulicą wąską, wysłaną gnojem, przyszedłem na obszerny, ale cichy i bezludny rynek. Stałem u byłego kolegi z gimnazjum, Pawła Gazdy, kancelisty w sądzie strumińskim, który mnie wieczór zapoznał prawie z całym Strumieniem. Mieszczanie strumińscy wszyscy mówili po polsku, rzadko który bąknął kilka słów niemieckich, które się kupy nie dzierżały. Ze Strumienia poszedłem do Prus do Golasowic. Ślężacy ewangelicy mieli za moich czasów szczególniejsze przywiązanie do kościoła Golasowskiego i odwiedzali go przynajmniej raz na rok. Księdzem był Jursa. Strój w Golasowicach, Bzinie i koloniach jest przeważnie wałaski, mało laskiego, tak samo w Jarząbkowicach. W Pielgrzymowicach, w Cisówce i Ruptawie przeważa strój laski, w reszcie wsi ku zachodowi jest strój laski. Wałaski strój ciągnie się aż ku Pszczynie. W ogóle noszą ewangelicy strój wałaski, laski zaś katolicy. Zwiedziłem jeszcze na naszej stronie kilka wsi, byłem wszędzie, o ile możności w kościele i na cmentarzu, i zawiązywałem z mieszkańcami rozmowę, dla poznania miejscowego narzecza. Że w okolicach czysto polskich tak często na cmentarzach spotykało się napisy czeskie, pochodziło stąd, że językiem kościelnym był język „morawski“. Lud słuchał kazań morawskich, śpiewał i modlił się po morawsku, więc i nagrobki układano po morawsku, zwłaszcza, że księża i różni pisarze, do których się lud udawał, woleli pisać po morawsku niż po polsku. Spodziewać się należy, że teraz już jest inaczej.

Dla pamięci, jak to dawniej u nas bywało, przytaczam odpowiedź przełożonego gminy na niemieckie pismo, otrzymane z urzędu parafialnego, tudzież wywołane tą odpowiedzią podanie urzędu parafialnego do gminnego. List przełożonego gminy (chłopa) brzmi dosłownie:

Do Wielebnego Pana Fararza w

Niżej podpisany odpowiada na przysłane mu niemieckie pismo z dnia 11. sierpnia 1851 r. nr. 56 co następuje: Ponieważ wspomniane pismo było w mowie niemieckiej pisane, a więc w mowie, której Ślązacy nie rozumieją i za cudzoziemską uważają, dla tego, nie wiedząc, o co się jedna, nie mogę też żadnej dać odpowiedzi. Dziwi mię to bardzo, że W. Pan fararz, mając być nauczycielem ludu, przemawia do niego niezrozumiałą mową, która się o jego uszy jako groch o ścianę odbija. Żyć w pośród ludu polskiego, przeznaczonym być na przewodnika jego, żywić się z jego potu i pracy — a przemawiać do niego obcą, niezrozumiałą mową i dokuczać mu przez to, zasługuje zapewne w oczach sprawiedliwych sędziów na pogardę. Język nasz macierzyński jest nam zapewniony przez konstytucyę, nie damy go sobie tedy przez nikogo wydrzeć. Niechże tedy W. Pan fararz w tej sprawie, jako też we wszystkich innych nastąpić mogących w polskiej mowie do nas przemawiać zechce.

W... dnia 13. sierpnia 1851 r.

N. N. burmistrz.

Odpowiedź fararza brzmiała dosłownie:

Szaczowanemu urzędowi gmini w nr. 61.

Przepraszám wiele, że tak wielkom chibe zrobił, a tom prosbe, ktoróm niži przedniesem, w nemieckim języku Szaczowanemu urzędowi przednios. Dziękuje tez oraz za to wi-nauczenie, ktore bi sie węc dla pastyrza jako dla xędza godzylo; a přiobiecujem, że na przyszli czas węc tak ogromnego urazu polskiego języka się warować będem. Oto jeszczé przepraszám też wiedzec, że jo ze żadnego potu ani praci ludu nie żijem, a najmieni z praci a potu szaczowanego Pana Burmistrza z ktori we swoji godności zapomniół też jistego czasu na prawdziwe imje fararzowe, a w při-tomności jinszych go przeżywał. Opoważi sie też temu oraz

zemto dzisajszim przepisem sławne hetmanstwi w przeświadczyć, jako ...

Tato w nemeckim języku przednieśona a teraz po drugi powtarzana prosba w krutkości, abi szacowani urząd w imieniu obce dal wiedzeć, jesli tocmowe rešta, ktore aż do odkupienia podle cisarskiego patentu sie zesuć powinni, dostanem, albo kiedi a jakim sposobem. Spodziewam sie do pondziałku odpowiedzi, ale ne tak uszczępliwej.

Z fary ... dnia 16. sierpnia 1851 r.

XIII.

Cieszyn. Praktyka adwokacka. Teatr amatorski.

Młoda Polonia w Cieszynie starała się o zaprowadzenie nauki języka polskiego w obu gimnazyach cieszyńskich, ale podania Stalmacha i Kotuli były bezskuteczne. I mnie bawiącego w Cieszynie na wakacyach wezwano, bym szturmował. Wniosłem więc podanie do gron nauczycielskich a następnie do ministerstwa o udzielenie mi pozwolenia na wykładanie języka polskiego w jednym lub w obu gimnazyach cieszyńskich. Podanie z załącznikami odeszło do Wiednia z końcem grudnia 1849, a 15 listopada r. 1850 odebrałem odmowną odpowiedź: „weil dem Bedürfnisse des Unterrichtes in der polnischen Sprache an den gedachten beiden Gymnasien vorläufig anderweit Genüge geleistet ist.“ Z namowy Dra Kluckiego i Dra Plucara podałem się także w r. 1849 o profesurę języka polskiego w uniwersytecie ołomunieckim (do której oczywiście nie byłem przygotowany), ale dopiero 3. maja 1856, a więc po siedmiu latach, otrzymałem odpowiedź, że takiej posady w ogóle nie będzie.

Z końcem lipca r. 1853 po ukończeniu studyów prawniczych wróciłem do Cieszyna i wstąpiłem do praktyki adwokackiej u Dra Kluckiego. Było nas tam trzech prawników i kilku pisarzy. Zarobków było dużo, bo oprócz Ołomuńca, Opawy, Cieszyna, Krakowa i Tarnowa inne miasta nie miały adwokatów, w Cieszynie było dwóch, Dr. Klucki i Dr. Demel. Mieszkiałem z początku u Stalmacha i pomagałem mu w pracy redaktorskiej. Stołowałem się też u niego, płacąc za śniadanie 4 krajcary monety konw., za kolację także 4 kr., za obiad 8 kr., a za obsługę miesięcznie 30 kr. Przytaczam tu te ceny na dowód, jak w ten czas było w Cieszynie tanie życie. Co prawda, nasze żołądki (Stalmachów i mój) musiały być skromne, bo dochody były małe. Liczba prenumeratorów „Gwiazdki“ nie była wielka, dla tego Stalmach mało z niej miał zysku. ja zaś pobierałem od Dra Kluckiego miesięcznej pensyi 20 reńskich m. k. czyli 21 złr. w. a. Taką małą sumkę trzeba było na wszystkie strony naciągać (jak szewc skórę), aby wystarczyła na wszystkie potrzeby. Niezadługo nająłem sobie osobne mieszkanie na wyżniej bronie, złożone z dwóch pokoi i kuchni, za 40 reńskich m. k. = 84 koron. Tu zabrałem się do pracy nad egzaminami, do których zachęcał mię były mój profesor prawa karnego, Dr. Koczyński. W r. 1858 uzyskałem stopień doktora praw, w następnym złożyłem egzamin notaryalny.

Już pod koniec moich studyów krakowskich zaczęto w Cieszynie dawać przedstawienia amatorskie polskie, do których ja amatorom dostarczałem odpowiednich sztuczek, zwykle w odpisach, bo drukowanych nie było. Był także niemiecki teatr amatorski. Przedstawienia odbywały się w sali ratuszowej, grywano jedną sztukę niemiecką i jedną polską. Widzowie byli ci sami, a zaproszenia niemieckie i polskie były w zgodzie na jednej kartce. Publiczności bywało dużo, bawiła się dobrze, a polskie sztuki podobały się bardzo. Oczywiście amatorom polskim wystudyowanie

sztuk w języku, w którym nie mieli dostatecznej wprawy, nie mało sprawiało trudności. Nieraz i wiejscy amatorowie brali w przedstawieniach tych udział i dobrze się spisywali. Spis sztuk granych znajduje się w „Pamiętniku” Czytelni, a w „Silezyacy” jest zbiór kilkunastu zaproszeń polsko-niemieckich. Ta zgoda między Niemcami i Polakami była jeszcze możliwa w latach 1850 i następnych, a było z tem dobrze obu narodowościom. Dziś byłoby to niemożliwem. Wszak Niemcy, rozpanoszywszy się w naszym kraju, skasowali nawet niemiecko-polskie napisy na rogach ulic, zastępując je niemieckimi.

XIV.

Jubileusz miasta Cieszyna.

W r. 1860 wpadła mi w ręce broszurka „Die vier Jahreszeiten”, które „cztery pory roku”, jak stało na tytule, były przedstawione podczas obchodu tysięcznej rocznicy założenia miasta Cieszyna (810—1810). Sądziłem, że należałoby w roku obchodzić 1050. rocznicę. Dr. Klucki, ówczesny burmistrz Cieszyna, pochwalił tę myśl, przedstawił projekt na posiedzeniu Rady miejskiej, która go przyjęła. Wybrano komitet, do którego weszli: Dr. Józef Fischer, prof. gimn., Jan Raszka, komisarz polityczny, Ed. Schröder, kupiec, Dr. R. Schuster, adwokat i Dr. Cinciała. Komitet wydał odezwę do mieszkańców, a mnie powierzono wydanie Pamiętnika, który nazywał się Album i składał się z części niemieckiej i polskiej. Wstęp napisał urzędnik sądu krajowego, Lamatsch von Warnemünde, następnie umieściłem jego pracę dawniejszą: „Die Gründung der Stadt Teschen” i wydany „Aufruf”. Polska część, która

zajęła trzy czwarte całego dziełka, zawierała: „Ostatni Piastowie na Cieszynie“, poezye i kronikę miasta. Gdy Niemcy na zabawie ludowej w alei, gdzie Pamiętnik wyłożono na sprzedaż, spostrzegli, że dział polski przeważa nad niemieckim, byli bardzo na mnie oburzeni. Uroczystość zresztą wypadła bardzo dobrze.

Składki na ten cel urządzone*) obrócono na odnowienie „brackiej studni“ w Cieszynie w parę lat po jubileuszu, przyczem umieszczono na studni stosowne napisy w polskim, niemieckim i łacińskim języku. Spodziewać się należy, że w r. 1910 znów odbędzie się jubileusz założenia miasta Cieszyna, i że ziomkowie postarają się o jakieś wydawnictwo polskie na uczenie tej rocznicy.

XV.

Czytelnia ludowa w Cieszynie.

Zaraz po założeniu pisma dla ludu p. t. „Tygodnik Cieszyński“ myślano o założeniu Czytelni i biblioteki polskiej w Cieszynie i wydano w tym celu odezwę (Cieszyn, d. 28. września 1848) w języku polskim i niemieckim p. t.: „Uwiedomienie, Nachricht“. Po upływie pół roku, t. j. 18. marca 1849 ogłoszono ustawy dla biblioteki kraju Cieszyńskiego wraz z odezwą wzywającą do przystępowania do Czytelni. Odezwę podpisali: ks. Jerzy Prutek (później Niemiec), Dr. Klucki, Dr. Fischer, P. Stalmach

*) Według drukowanego spisu z r. 1861 zebrano ze składek 338 złr., za 450 egzemplarzy album 104 złr. 50 ct., czyli razem 442 złr. 50 ct., a ponieważ na uroczystość wydano 202 złr. 10 ct., a na druk album 93 złr. 90 ct., pozostało na odbudowanie studni brackiej 146 złr. 17 ct.

i Andrzej Kotula. Ja wtedy bawiłem w Krakowie na uniwersytecie i starałem się o zbieranie książek, aby nimi zasilić biblioteczkę „uczących się języka polskiego“ na ewang. gimnazjum w Cieszynie, którą opiekowało się istniejące jeszcze wtedy „Towarzystwo“, a które według mego życzenia miała być zawiązkiem powstającej „biblioteki dla ludu kraju Cieszyńskiego“. („Gwiazdka Ciesz“ 1850, 263). Bibliotekę dano ludowi kraju Cieszyńskiego na własność w przypuszczeniu, że gdyby nastąpiły później prądy przeciwnarodowe, nie dobytoby się tak łatwo na tak wielką niesprawiedliwość i nie targnięto by się na własność całego kraju.

Przekonanie o potrzebie języka polskiego torowało sobie drogę dosyć szybko pomiędzy obywatelstwem i urzędnikami, chociaż nie brakło i nieprzyjaciół języka polskiego u nas, którzy twierdzili, że u nas należy mówić i pisać jak lud mówi. Takim był Nikodem Lippka, prezydent sądu obwodowego w Cieszynie. Nienawidził on języka polskiego, czego dowodem jest i to, że sobie do nazwiska przypisał drugie *p* i pisał się Lippka zamiast po ludzku Lipka. W r. 1850 dnia 1. lipca ten sławny Lippka w mowie mianej z powodu zaprowadzenia sądów przysięgłych w Cieszynie miał sposobność uwiecznić swoje poglądy na język polski. Mowa ta pod nazwą „Osłowieni“ ogłoszona została drukiem wraz z mową prokuratora Huberta, którą Lippka także przerobił na śląskie kopyto. Szkoda, że tej zasady nie zastosował także do języka niemieckiego i nie mówił i nie pisał tak, jak koloniści niemieccy koło Bielska i w ogóle lud niemiecki.

Dnia 6. lipca 1850 „Wydział Towarzystwa dla wydoskonalenia się w języku krajowym“ wydał odezwę, w której także witał przystępujących do Towarzystwa urzędników. Niestety „Towarzystwo“ — zwane także „Czytelnią polską“ po krótkim istnieniu zostało przez rząd rozwiązane. „Bibliotekę polską“ skonfiskowano i oddano zakładowi Szersz-

nika w Cieszynie. Stało się to w czasie, gdy Niemcom żal się zrobiło, że też i inne narody mają mieć jakie takie prawa i także chcą zasiąść do stołu zastawionego dla wszystkich. Tylko „Gwiazdka Cieszyńska“ i niezbyt częste przedstawienia amatorskie (dawane z niemieckimi w sali ratuszowej) świadczyły o jakim takim życiu narodowym u nas.

Gdy zapędy niemieckie powoli zaczęły słabnąć i prądy polityczne ulegać zmianie, i na Śląsku zaczął się na nowo budzić duch narodowy. Chodziło o założenie nowego towarzystwa narodowego, którem była założona w r. 1861 „Czytelnia ludowa w Cieszynie“. Postanowiono założyć Czytelnię dla ludu bez różnicy wyznania, stanu lub zatrudnienia, mającą za cel „podanie środków oświaty dla tutejszej ludności polskiej.“ Statut rząd zatwierdził dnia 31. maja 1861 r.; dnia 31. sierpnia 1861 zebrał się liczny zastęp mężów zaufania, wybrano komitet przygotowawczy, składający się z siedmiu członków (4 z miasta, 3 ze wsi), który miał poczynić kroki potrzebne do otwarcia Czytelni. Komitet wydał odezwę (15. września 1861) w języku polskim i niemieckim, zachęcając do zapisywania się na członków (w domu nr. 117 „pod złotym Lwem“). Dla członków było na razie 40 czasopism, była też niewielka biblioteczka. Członkowie miejscowi mieli płacić po 4, zamiejscowi po 2 złr. rocznie. Czytelnię otwarto wobec licznego zgromadzenia w domu „pod złotym Lwem“ (w rynku) dnia 7. grudnia 1861. Lud wiejski garnał się do Czytelni; do końca grudnia zapisało się około 120 osób. Z inteligencji cieszyńskiej zapisali się: Ruff, c. k. starosta, Pospischil, prezydent sądu, dyrektorowie gimnazyów Gabriel i Kalinczak, kilku radców, doktorów, profesorów i mieszczan. Był także burmistrz miasta Cieszyna (!) Dr. Ludwik Klucki, współzałożyciel i prezes Czytelni. Zgromadzenie zagaił mową Dr. Klucki, po nim przemawiali inni jeszcze mowcy. Prezesem wybrano Dra Kluckiego, sekretarzem i kasyerem Dra Cinciałę, bibliote-

karzem Stalmacha, gospodarzem Dra Fischera, piąty członek (zamiejscowy) był bez urzędu. Po pewnym czasie rząd krajowy zezwolił na zwrót z biblioteki Szersznika skonfiskowanych dawniej książek.

XVI.

Towarzystwo rolnicze w Cieszynie.

Narodowcy nosili się już dawno z myślą, aby i rolników śląskich obudzić i założyć Towarzystwo rolnicze. Dwa miesiące po założeniu Czytelni zwołano znaczniejszych gospodarzy na dzień 15. lutego 1862 do Czytelni ludowej. Zebrało się około 40 uczestników, którzy wybrali komitet, mający ułożyć statut i poczynić kroki wstępne, do którego należeli: Jan Gaszek z Żukowa, ks. Andrzej Żlik z Cieszyna, Dr. Klucki, burmistrz Cieszyna, Jan Matuszek, rolnik z Olbrachcic i Dr. Cinciała z Cieszyna. Na naradach wstępnych zastanawiano się długo, jakim językiem będzie się posługiwało Towarzystwo i w jakim języku ma wychodzić pismo, gdyby przyszło do skutku. Ks. Żlik zastępował bardzo uparcie stronę niemiecką. Wreszcie zgodzono się na taką redakcyą §. 8. statutu: „Każdemu członkowi wolno używać przy obradach języków krajowych. Gdy jednak Towarzystwo głównie ma na celu podniesienie gospodarstwa wiejskiego i szerzenie nauk w związku z niem będących, co z korzyścią jedynie w języku narodowym nastąpić może, lud zaś wiejski przeważnie jest polski, dla tego te okoliczności przy obradach uwzględnione a wszelkie czynności Towarzystwa w polskim języku prowadzone i ogłaszane być mają.” Polskie stronnictwo poczyniło jeszcze wszystko, aby w razie wystąpienia do Towarzystwa znaczniejszej liczby Niemców, nie

straciło znaczenia i aby nie wybrano niemieckiego wydziału. Ale rząd statutu nie zatwierdził. Pamiętam, że rezolucya brzmiała mniej więcej tak: Ponieważ Opawianie zamysłała utworzyć Towarzystwo rolnicze, a dwa Towarzystwa rolnicze są niepotrzebne, tedy musiano podanie Cieszyniaków odmownie załatwić.

W ten czas myślałem już o wydaniu polskiego podręcznika prawniczego dla naszego ludu i zabrałem się do tłómaczenia i objaśnienia ustaw wojskowych i administracyjnych, których znajomość potrzebna jest zwłaszcza przełożonym gminy. Praca ta jednak w ten czas nie została wykonana, a gdy po dłuższej przerwie na nowo się do niej wziąłem, ustawy przezemnie opracowane dawniej już albo były zmienione albo też zupełnie zniesione. Przekonałem się jednak o potrzebie takiego dzieła, które też później wydałem.

XVII

Sprawy zboru ewangelickiego w Cieszynie.

Patentem ces. z dnia 8. kwietnia 1862 r. wprowadzone zostało w życie nowe urządzenie zborów ewangelickich w Austrii. W zborze Cieszyńskim wybrano według liczby dusz 232 zastępców, a ci wybrali z pośród siebie 32 prezbyterów, do których i ja należałem. Pierwszą czynnością moją większej doniosłości było spisanie protokołu z pierwszego posiedzenia starszizny po polsku. Nie pytałem się ani przewodniczącego ks. Żlika ani nikogo innego, lecz uczyniłem, co uważałem za właściwe. Ks. Żlik, gdy mu protokół przedłożyłem do podpisu, powiedział — „Das ist ja polnisch“ — a Niemcy, których było może 5 w prezbyterstwie, zakłopotali się i dały się słyszeć głosy: „Wer wird das oben

lesen?“ Ja oświadczyłem, że protokoły spisuje się zawsze w tym języku, w którym toczą się obrady, a nikt z obecnych ani słowa po niemiecku nie przemówił, więc protokół pisałem po polsku, mógłbym go jednak, gdyby go było trzeba posłać „nach oben“ przetłumaczyć.

Burza się uspokoiła. Był to pierwszy krok do wydobywania się zboru na wskroś polskiego z więzów kilku Niemców, roszczących sobie prawo do rządzenia zborom po niemiecku. Odtąd pisano i dziś się już piszą wszystkie protokoły z posiedzeń zborowych po polsku.

Na tem posiedzeniu członkowie prezbyterstwa podzielili się na sekcyje, aby każdy łatwiej i gruntowniej mógł się zajmować pewnemi sprawami. Wszędzie panował zastój, zaniedbanie spraw kościelnych i gospodarka była bardzo prymitywna. Zaprowadzono kancelaryą zborową, w której się odbywały posiedzenia prezbiteryalne i sekcyjne. Zajęto się uporządkowaniem cmentarza. Porobiono ścieżki, których dotąd nie było, przyczem natrafiono na opór, gdyż ludzie nie chcieli pozwolić na przeprowadzenie ścieżek przez groby swych krewnych. Ścieżki obsadzono drzewkami, przyczem ks. Żłik był bardzo pomocnym, otoczono cmentarz od strony Błogocie wysokim murem i kratą żelazną, wybudowano marownię i w ogóle zaprowadzono na cmentarzu porządek.

W kościele położono posadzkę marmurową koło ołtarza, pomalowano pawłace, odnowiono organy kosztem blisko 3000 reńskich, co przeprowadził Sapalski z Krakowa. Niestety poprzednie kolatorstwo zniżyło pawłace organową i podorganową i zmieniło pierwotny ich kształt łukowy na prosty, przez co kościół bardzo został zeszpecony, bo perspektywa całkiem się zmieniła, a kazalnica bardzo się zbliżyła do pawłaczy przeciwnych.

Dochody kościelne podniesiono. Mieszkowe pieniądze, przynoszące dotąd około 400 reńskich, wskutek lepszej kontroli przynosiły odtąd około 1200 reńskich. Czynsze

z domów były dotąd tak niskie, że ludzie rwali się o mieszkania; gdy ceny mieszkań podwojono, nikt się nie wyprowadził. Zaprowadzono złotą księgę, w której zapisywano wszystkie zapisy, legaty i dary. Ogłoszono nazwiska ofiarodawców raz na rok z kazalnicy. Później, o ile wiem, zaniechano tego pięknego zwyczaju, chociaż zawsze wpływały i wpływają legaty, bo lud pamięta o potrzebach matki zbiorów śląskich.

Alumneum. Budynek alumnejski, stojący dawniej tam, gdzie dziś gimnazyum, chylił się ku upadkowi. Już dawno myślano o budowie innego, ale nie było pieniędzy.

Zbierano nawet fundusze na ten cel, ale z powodu nieświatłej gospodarki, wszystko jakoś nie szło. Gospodarzem alumneum był ks. Żlik, który jednak miał tyle różnych zajęć, że sprawami alumneum nie wiele się mógł zajmować.

Zaprowadziliśmy przedewszystkiem ściślejszy porządek i udaliśmy się, dla zebrania jakiegoś funduszu na początek, do ewangelików z prośbą o poparcie. Były dwa główne wnioski: 1. budować nie na starym placu, ale na nowym i 2. nie na 35 alumnistów, jak dotąd, lecz na 60. Bronilem wobec większego zastępstwa obu wniosków, ale sprawa szła trudno, bo zdawało się, że zabraknie pieniędzy na wybudowanie budynku na 60 alumnistów, a przeciw nowemu miejscu przemawiał argument, że trzeba by zburzyć zbudowaną na tem miejscu za 900 złr. szopę dla koni posyłanych po księży, wzywanych do chorych. Ostatecznie zgodzono się na wybudowanie budynku na nowym placu, jednakże tylko na 36 alumnistów. Byłem z tego wyniku bardzo zadowolony, bo w razie wybudowania nowego alumneum na dawnem miejscu, byłby się bardzo ścieśnił wjazd na plac kościelny, który wskutek tego byłby wyglądał bardzo niefortunnie. Do małego zaś budynku można było i później część dobudować, co też rzeczywiście nastąpiło za 30 lat. Składki na budowę nadpłynęły dość znaczne, zbór obowiązał się

robotę ręczną i pociągową wykonać za darmo i wspierać pie-
niężnymi ofiarami całe przedsiębiorstwo. Ks. Żlik darował na
swoim folwarczku plac na robienie cegły, a gdy i węgle mie-
liśmy nieco taniej, a przywóz za darmo, tedy nam było trzeba
płacić tylko robotnika przy cegle i kosztował nas tysiąc
cegieł tylko około 4 reńskich. Fundamenta na nowem
miejscu założono w r. 1865 i budowa postępowała dosyć
szybko.

Stosunki szkolne. Według dawnych urządzeń
nauka szkolna w każdej klasie, tak szkoły ludowej, jak też
i gimnazyum, trwała dwa lata. Wstępować do szkoły lub
przenosić się z klasy niższej do wyższej można było tylko
co drugi rok. W szkole przygotowawczej i w klasie I.
nauka trwała cztery lata, a potem przechodziło się do
II. klasy, czyli do gimnazyum. Do szkoły przygotowawczej
i do I. klasy uczęszczały prawie bez wyjątku dzieci
z miasta i okolicznych wiosek, gdyż z gmin szkolnych
zborowych i z dalsza przychodziła młodzież wprost do
gimnazyum, otrzymawszy na wsi przygotowanie takie, jak
w Cieszynie. Szkoła ta utrzymywała się głównie z fun-
duszów gimnazyalnych, zresztą kosztowała mało, bo jeden
z nauczycieli był tak zwanym pisarzem kościelnym, a drugi
organistą, pobierali więc z majątku kościelnego jakieś płace
i mogli się zadowolić mniejszymi dochodami szkolnymi.
Gmina szkolna Cieszyńska na szkołę nic nie płaciła. Gdy
się pokazała potrzeba rozszerzenia tej szkoły i powołania
nauczyciela III. klasy, a później, gdy chodziło o podniesienie
tej szkoły na szkołę główną i powołanie czwartego nauczy-
ciela, starano się o uregulowanie stosunku szkolnego do
zboru Cieszyńskiego i nakłonienie gminy szkolnej do płacenia
podatku szkolnego stałego, rocznie 400 złr. Jeżeli to trudno
użyło, to jeszcze trudniej szło z otworzeniem IV. klasy. Rząd
robił trudności, żądał zabezpieczenia płacy nauczycielskiej,
emerytury dla nauczycieli i t. p. I plan naukowy nie po-

dobął się rządowi, bo język polski był należycie uwzględniony, co rządowi nie było na rękę.

Zbór czynił zabiegi, aby seminaryum nauczycielskie założono nie w Bielsku, lecz w Cieszynie. W tym celu po zebraniu potrzebnych funduszków otwarto czwartą klasę szkoły głównej, gdyż czteroklasowa szkoła była warunkiem założenia seminaryum. W starym budynku gimnazyalnym, gdzie była pomieszczona w trzech klasach szkoła ludowa i gdzie także znajdowały się klasy gimnazyalne, był wolny niewielki pokój, który urządzono na cele nowo otwartej klasy czwartej. Wprawdzie dyrektor Kalinczak sądził, że pokój ten należy do gimnazjum i kazał go nawet zamknąć, a klucz zabrał. Musiał na to ślusarz poradzić, i nauka mogła się odbywać, pomimo, że władze szkolne długo zwlekały z zatwierdzeniem tej klasy.

Chcieliśmy więc mieć seminaryum w Cieszynie przy matce zborów szląskich. Ale niespodziewanie nadszedł okólnik Rady kościelnej (30. sierpnia 1862), wzywający zbory do składek na seminaryum w Bielsku, na którego założenie Bielszczanie, którzy widocznie cichaczem zabrali się do dzieła, mieli już pozwolenie (4. kwietnia 1860) od ministerstwa. Jednogłośnie oparło się presbiterstwo Cieszyńskie założeniu seminaryum w Bielsku. Mając wiele powodów za sobą i opierając się na patencie protestanckim z dnia 8. kwietnia 1861, uchwaliło na posiedzeniu z dnia 30. grudnia 1862 jednogłośnie, podać prośbę do senioratu, aby sprawę seminaryjną poddano poprzedniemu zbadaniu i orzeczeniu wszystkich presbiterstw i do tego czasu odroczone budowę seminaryum w Bielsku. Bardzo gorąco się krzątano w zborze koło tej sprawy. Obmyślano potrzebne środki. Na posiedzeniu dnia 18. marca 1863 większe zastępstwo zboru ofiarowało jeden z domów zborowych na bezpłatne umieszczenie seminaryum, uchwalono zamienić szkołę ludową zborową na główną, starano się ustnie i pisemnie przedstawić sprawę zboru

i władzom kościelnym i szkolnym, wydawano pisemka, wyjaśniające sprawę, z przytoczeniem wszelkich dowodów, przemawiających za Cieszynem a przeciw Bielskowi. Takimi pisemkami były n. p.: Podanie do starszeństwa zboru Cieszyńskiego. Lwów 1862 (u Pillera). — Protest starszeństwa zboru Cieszyńskiego przeciwko założeniu ewangelickiej seminarii w Bielsku, oraz powody, dla których też seminaria w Cieszynie założona być powinna. Cieszyn 1863 (u Prochaski). Gdy z tym protestem przyszedłem do ks. Żlika, bardzo mu się nie chciało dać swego podpisu, w końcu atoli przecież podpisał protest, z którym ja natychmiast pobiegłem do drukarni. Wogóle księża i profesorowie nasi w prezbyterstwie i poza niem nie byli za seminarium w Cieszynie, a ks. Kłapsia na posiedzeniu 18. marca 1863 odezwał się do większego zastępstwa: „Ludzie, złożcie ręce, a dziękujecie Bogu, że Bielszczanie chcą ten wielki ciężar wziąć na siebie.“ Tak wspierali księża rozkwit szkół ewangelickich w Cieszynie, tak wspierali prezbyterstwo i jego słabe siły w pożytecznych rzeczach. Seminarium przepadło dla Cieszyna, a germanizacya jak dawniej góruje.

Godności kościelne. Niezadługo po wyborze prezbyterstwa przystąpiono do wyboru kuratora zboru, i wybrany zostałem na tę godność. Przy pierwszym konwencie senioralnym wybrano mię także na kuratora senioralnego, przez łco mi różnych prac przybyło, mianowicie gdy ks. Żlik został seniorem, a ks. Terlica z Golezowa konseniorem.

Niezadługo też zwołany został konwent seperintendentalny przez ks. sup. Lumnitzera do Berna. Tam uchwalono spisać protokół z posiedzeń w trzech krajowych językach, i ja wybrany zostałem do spisania polskiego protokołu, podobnie jak i na konwencie senioralnym. Między innemi przystąpiono do wyboru kuratora. Po obliczeniu głosów okazała się równość pomiędzy mną i jakimś Niemcem z Berna, którego nazwiska dziś nie pamiętam. Ten wynik

wyboru bardzo mię zdziwił, bo mi ani przez głowę nie przeszło, żeby mi mógł kto dać głos, i ja mój głos oddałem temu Niemcowi, bo żaden inny kandydat nie był do wyboru postawiony. Po drugiem głosowaniu miał przedstawiony przez partję niemiecką, do której wszyscy Ślązacy należeli, Niemiec o dwa głosy więcej odemnie i został wybrany. Po wyborze przyszedł jeden ksiądz morawski do mnie i ubolewał nad tem, że z ich partji dwóch księży się uchwale sprzeniewierzyło, — ja zaś byłem kontent i bardzo kontent, że mię nowa praca ominęła, a mianowicie, że nie będę musiał zasiadać w synodzie. Jako mającego mniejszość głosów, ogłoszono mię zastępcą kuratora superintendencyalnego, ale nie powoływano mię ani razu na posiedzenia. Za to rozwijała się praca przy zborze Cieszyńskim w najróżnorodniejszych kierunkach.

Miano między innemi naukę katechizmową, która od dawna była w zaniedbaniu, na oku, z młodzieży prawie nikt nie uczęszczał w niedzielę na nie, a chociaż dosyć regularnie miewali księża „katezmus“ po nabożeństwie przed ołtarzem, to z młodzieży szkolnej, ani z tutejszej szkoły ludowej, ani z innych szkół zborowych nie było prawie nikogo. —

Starszeństwo starało się także o zaprowadzenie polskiego kancyonału zamiast używanego w zborach śląskich czeskiego kancyonału Trzanowskiego. Po dłuższych pracach przygotowawczych, które jednak nie doprowadziły do celu, dopiero ks. Jerzy Heczko z Ligotki zabrał się do dzieła i szczęśliwie je ukończył. Ks. Heczko bardzo się przez wydanie polskiego śpiewnika zborom śląskim zasłużył. W Cieszynie uchwalono zaprowadzić kancyonał polski w r. 1864, a na Wielkanoc 1865 r. po raz pierwszy w kościele Jezusowym śpiewano po polsku.

Tak zwany patent protestancki z r. 1861 wyszedł tylko w języku niemieckim dla naszych zborów niezrozu-

miałym. Okazała się więc potrzeba polskiego przekładu, którego równocześnie dokonaliśmy ja i ks. Heczko. Przesłaliśmy oba przekłady do Lwowa, gdzie je przejrzał i poprawił prezbiter Jan Bujak, radca dworu (Wiślanin), poczem patent wydrukowano w nadwornej drukarni w Wiedniu.

Praca moja przy zbiorze była wielka i liczne miałem zajęcia, ale pracowałem chętnie, poświęcając dużo czasu na nadzór, dla tego zresztą dla mnie łatwy, że z mieszkania miałem pogląd na cały plac kościelny. Nieraz nawet w nocy starałem się przekonać, czy wszystko w porządku i czy „wachtarze“ pilnują swoich obowiązków.

Nie podobało się to całej wyżniej bronie. Panie mówiły, że zaglądam im do garnków, a ci, którym trzeba było patrzeć na palce, uknuli na mnie spisek, mający mnie pozbawić godności kościelnych, a gdyby się dało, i innych. Na tej denuncyacji miało być podpisanych trzech mężów, z których przypominam sobie Kajzara i Wojnara. Gdy ks. Żlik, któremu Rada kościelna poleciła śledztwo w tej sprawie, wszystkich Kajzarów i Wojnarów zawołał, aby się coś od nich dowiedzieć, nikt nic powiedzieć nie umiał. Sam ks. Żlik zauważył, że podpisy muszą być zmyślane czyli podrobione, gdyż Kajzarowie podpisywali się Ka i z a r, a nie Kajzar, jak było w podaniu. Ks. Żlik, spisawszy protokół, wysłał go do superintendentury, gdzie oczywiście fałsz wyszedł na jaw.

XVIII.

Praca zawodowa.

Cieszyn. W Cieszynie było 3 adwokatów i notaryusz Farnik. Uchwalono utworzyć drugi notaryat, o który między innymi ubiegał się także późniejszy burmistrz Dr. Demel, poseł

na Sejm i do Rady państwa, również i ja. Oczywiście Demel jako człowiek wpływowy posadę otrzymał. Gdy jednak zajęcia w Sejmie i w Radzie państwa nie pozwalały mu zajmować się kancelaryą, dość niechętnie zaproponował mi substytucyą. I ja niechętnie opuszczałem Dra Kluckiego, w którego domu tyle lat bardzo przyjemnie spędziłem. Tak więc w maju 1863 po złożeniu przysięgi objąłem urządowanie, postawiwszy naprzód warunek, że wszelkie dokumenty dla ludu będę pisał po polsku, na co zgodził się Dr. Demel. Mój szef nie mieszał się wcale do moich spraw, nawet ani razu się jako notaryusz nie podpisał. Pod koniec drugiego roku substytucyi dowiedziałem się, jakoby Demlowie mieli się z sobą zamienić na godności, syn miał objąć adwokaturę ojca, ojciec notaryat syna, na co minister wyjątkowo miał się zgodzić. Przypuszczano, że stary Demel zrzekłby się następnie notaryatu, który mógłby mi się dostać. Ale młody Demel musiał mieć dobre informacye z góry, gdyż radził mi ubiegać się o jakikolwiek notaryat.

Staralem się o Skoczów, a że byłem jedynym kandydatem na Księstwo Cieszyńskie z praktyką więcej niż wystarczającą i z kwalifikacyami jak najlepszymi, sądziłem, że mi się dostanie ta posada i do nikogo też za nią nie chodziłem, zwłaszcza, że Dr. Demel przyrzekł mi poparcie u ministra. Tymczasem adjunkt sądowy Michel pojechał do Wiednia i nagadał ministrowi, że jestem panslawistą, wychowanym w kancelaryi Dra Kluckiego, że jestem człowiekiem takim a takim, któremu notaryatu na Śląsku powierzyć nie można. Sam Dr. Demel mi mówił, że się go minister pytał: „Können Sie mir für den Mann bürgen?“ Na co on mu odpowiedział, że ręczyć za mnie nie może, czy pójdę z Niemcami, ale, że o ile mię zna, w agitacye wdawać się nie będę. Michel otrzymał posadę, a ja osiadłem na łodzi. Dano mi wreszcie posadę notaryalną w Schildbergu, na ostatnim krańcu Morawy na granicy czeskiej i pruskiej.

między Niemcami. To też nie bardzo się kwapiłem na to wygnanie i dopiero na urgens ministra wybrałem się tam w ośm miesięcy po nominacyi w listopadzie r. 1865.

Bardzo mi było przykro opuszczać ukochany Cieszyn, do którego przywiązałem się różnorodnemi czynnościami. Trzeba było porozwijać liczne węzły łączące mię z miastem. Czytelni, której byłem sekretarzem i kasyerem, sprzedawałem fortepian, którego jej pożyczyłem, za pieniądze, które się powoli uzbierały, z jego najmu, składane do kasy. Złożyłem z kolei urząd prezbitera i kuratora zboru cieszyńskiego, a uchwalone dla mnie, jak się wyrażono, „skromne wynagrodzenie“ w kwocie 50 złr. za różne prace prawnicze podejmowane dla zboru, ofiarowałem na sprawienie zegara na alumneum. Doniosłem także Senioratowi w Bielsku, że opuszczając kraj, składam godność kuratora senioralnego. Seniozem był wtedy Dr. Haase. Na to podanie żadnej nie otrzymałem odpowiedzi, a przecie zasłużyłem na to, aby na moje „Bądźcie z Bogiem“ odpowiedział mi Seniorat „Z Panem Bogiem“.

Schildberg. Pożegnałem się serdecznie z Drem Kluckim który wprawdzie winszował mi posady, ale żałował, że straci we mnie długoletniego współpracownika i człowieka równych zasad i przekonań. Pożegnali mię także koledzy prawnicy życząc rychłego do Cieszyna powrotu.

W Schildbergu urzędowałem od 15. listopada 1865 do 5. listopada 1867. Z początku nie miałem wiele do czynienia, bo mój poprzednik zaniedbał notaryat, trudnił się bowiem innemi sprawami, jak urządzaniem koncertów, teatrów amatorskich i t. p. To też miałem podostatkiem czasu na pisanie listów do znajomych w kraju, a ponieważ zanosilo się na wesele z Matyldą Klugówną w Krakowie, więc i do Krakowa wędrowały listy. Mając jaką taką posadę, mogłem pomyśleć o żeniaczce, zwłaszcza, że już miałem 40 lat skończonych. Wesele odbyło się w Krakowie 13. lutego

1866, a żonę zabrałem zaraz z sobą. W drugim roku mojego pobytu na Morawie dowiedziałem się, że Ministerstwo pozwoliło rozpisać konkurs celem obsadzenia drugiego notaryatu w Cieszynie. Ucieszyłem się tą wiadomością wielce i czyniłem ubiegi, by ją otrzymać, ale ubiegł mnie kolega A. Kotula, którego posadę w Frysztacie następnie ja zająłem. Z końcem października 1867 opuściłem Schildberg, a dnia 5. listopada otworzyłem kancelaryę we Frysztacie.

Frysztat od 5. listopada 1867 do 1. sierpnia 1881. Gdy otwarłem moją kancelaryę w Frysztacie, nie wiele ludzi przychodziło do mnie, bo notaryusz, mój poprzednik równie jak w Schildbergu, nie wiele dbał o kancelaryę. Jego najulubieńszem zatrudnieniem było zbierać chrząszcze, grzyby i rośliny. Był wielkim miłośnikiem natury, znał się wyśmienicie na przyrodzie, a jego zbiory, mianowicie zbiór chrząszczy, były znakomite. Rzadko bawił w kancelaryi, nieco częściej bawił w sądzie, gdzie strony w sprawach cywilnych i karnych zastępował. Naturalną rzeczą, że i tu w Frysztacie zakwitło pokątne pisarstwo, a to i mnie dało się we znaki. Z bezczynności kancelaryjnej wyrwało mię z 60 pozostałości zalegających stoły sądowe, które mi do przeprowadzenia przydzielone zostały, a pomału, pomału znachodziła się praca, tak, że mogę powiedzieć, że byłem odpowiednio zatrudniony. Byłem także obowiązany odbywać w Boguminie amtstagi i jeździłem tam raz na tydzień. Wtedy nie było jeszcze mostu przez Olzę pod Kąkolną, trzeba było przez wodę przejeżdżać, a przejazd ten przez wodę lub lód, był kwestyą dla mnie wielkiej wagi. Krytą bryczką nie można było przez Olzę przejechać, musiałem tedy jeździć na otwartym wózku na ociepcie słomy derką przykrytej, bo taka tylko okazyja dała niejakię bezpieczeństwo przed przewróceniem się do wody. Niekiedy rano rzeka była mała i spokojna, ale z powrotem, gdy w górach deszcz spadł, groziło niebezpieczeństwo, a gdy człowiek wjeżdżał

w wodę, to się żegnał i robił niby testament, jak gdyby nie miał na drugą stronę rzeki przejechać. Często trzeba było jechać i wracać przez Karwinę, która droga była gorsza i dłuższa. Czasem było trzeba wracać i przez Cieszyn i stracić dwa dni czasu i płacić podwójnie furmana. Jeździłem regularnie, aby ludzi na ten dzień przyzwyczaić, a gdy w tym dniu słota trafiła, to bardzo wiele wycierpiałem. Jazda trwała więcej jak dwie godziny, i trzeba się było z powrotem śpieszyć, aby nie zaćmieć, bo przejazd przez wodę w ciemności był straszny. Nie wiele przez te amtstagi zyskałem, bo albo ludzie dla słoty nie przyszli, albo też w dzień pogody dużo przyszło ludzi i nie mogłem niczemu poradzić, bo sam byłem i ledwo mogłem spisać informację i księgę gruntową przejrzeć. Sędzią powiatowym był w ten czas Klein, który umiał człowiekowi dokuczyć, doznał tego mój następca Santaryus, który z nim w ciągłych zatargach żył, dopóki Klein nie został spensjonowany. Pomału, pomału, miałem we Frysztacie pracy podostatkiem, nie włóczyłem się po kancelaryach szukając zarobku, ale siedziałem w mojej kancelaryi, a ludzie garnęli się do mnie. Pracowałem najwięcej sam i miałem tylko dwóch pisarzy. Wszystkie protokoły pertraktacyjne własnoręcznie pisałem a po załatwieniu podawałem do sądu, oprócz tego odbywałem wszystkie strony, które podczas pertraktacji przybywały. Przyszedłem do przekonania, żeby mi była siła pomocnicza potrzebna i wziąłem do kancelaryi jurystę Kasprzykiewicza, ale się na nim bardzo zawiódłem, bo bardzo mało co wiedział, i do niczego się nie dokładał. Po dłuższej próbie radziłem mu, aby wstąpił do Starostwa powiatowego we Frysztacie, że tam może do czego doprowadzić, gdy zawód cywilny nie dla niego stworzony. Usłuchał mię i dziś jest już starostą.

Natężona praca nadwreżyła moje siły, a gdy do tego cały dzień paliłem cygara, tedy podupadłem na zdrowiu i musiałem szukać ulgi w kąpielach, tak, że

pierwszy raz pojechałem do Gleichenbergu w r. 1871, gdzie odświeżyłem siły moje, i gdzie też oduczyłem się szkodliwego bardzo dla mnie palenia cygar.

We Frysztacie nie było wtedy żadnego adwokata, ale jak zapanował fałszywy liberalizm i zniesiono *numerus clausus*, pojawił się tu zaraz adwokat, a teraz jest ich nawet trzech. Ja nie miałem z sądowymi sprawami, czyli z procesami nic do czynienia, chyba że mię który z odległych adwokatów substytuował do stania na terminie, co nie rad czynilem, bom tracił dużo czasu a w kancelaryi ludzie czekać musieli. Burmistrzem był wtedy Altmann, kupiec towarów mięszanych, był to uczciwy ewangelik, a Frysztaczanie nie mogli się wydziwić, że mają protestanta na czele gminy. Gdy raz przy nowych wyborach rezygnował z posady, na którą ponownie wybrany został, Frysztaczanie zrobili mu fabelcug i prosili go, aby znów urząd ten przyjął, co też nareszcie uczynił. Nawet proboszcz Hudziec, syn chałupnika z Karwiny — zgadzał się na to, chociaż nie chciał mieć żadnego ewangelika w zastępstwie gminy. Gdy po śmierci Altmana nastąpiły nowe wybory, chodzili do mnie Frysztaczanie, czybym nie przyjął wyboru na burmistrza, a jak wybór przeprowadzono, pokazało się, że ani do Wydziału wybrany nie zostałem. Te deputacye powtarzały się przy każdych następnych wyborach, ale X. Hudziec zawsze umiał to w inną stronę skierować, a ja miałem sposobność porównywania Frysztaczanów z Schildbergami.

Pewnego razu zanosiło się na seryo na założenie Czytelni ludowej na wzór Cieszyńskiej, przystąpiło nawet już kilkunastu członków i zaprenumerowano kilka polskich gazet, ale to nie trwało długo i wszystko się rozlało, a ja sądziłem, że temu jest X. Hudziec winą, i że nawet prenumerata na wskroś katolickiego „Czasu“ nic nie pomogła. A Czytelnia byłaby się Frysztaczanom i okolicy bardzo przydała, bo to tam lud bardzo ciemny, a Frysztaczanie natu-

ralnie stoją na czele. Nie może też być inaczej, bo w szkole uczą przeważnie po niemiecku, ludzie nie czytają gazet a książek nie mają. W Fryszacie jest szkoła o 4 klasach, dzieci bez wyjątku wszystkie polskie, a szkoła jest niemiecka; po polsku nie uczą, bo też nauczyciele nie umieją języka polskiego. Jakże taka szkoła może szerzyć światło, gdy wszystko co jest w niej, jest obce, a więc ciemne. Zabiegi moje, aby przynajmniej w pierwszych dwóch klasach uczono po polsku, spełzły na niczem. I to nie pomogło, że Obmanem Rady szkolnej miejscowej był Polak, adjunkt sądowy Szłapa Jan. Gdy jednego razu obchodził swoje imieniny i zaprosił wszystkie frysztaćkie czoła do siebie, ja tam nie poszedłem, alem mu przysłał, gdy wszyscy koło stołu siedzieli, następujący wierszyk:

„Święty Janie Niepomucki, który siedzisz w niebie,
Tobie dobrze, a nam tu źle, jesteśmy w potrzebie,
Guty morgi, kis dy handy, szkoła na nas miota,
Tak się nam tu zagnieżdżyła niemiecka hołota.
Święty Janie, weźże kij,
Tych Prusaków wal i bij.“

Gdy budowano kolej północną, miano ją prowadzić przez Frysztat, a nie przez Żebrzydowice, ale Frysztaczanie oparli się temu, mając stodoły, któreby się mogły zapalić od iskier lokomotywy. Musiano więc budować kolej na nieodpowiednim miejscu, gdzie trzeba było zbudować (w Żebrzydowicach) wielki i bardzo kosztowy wiadukt. Gdy tór przez Żebrzydowice był wytyczony, przyszli inżynierowie kolejowi do burmistrza Szalszy (sam mi to opowiadał) i przedstawiali mu, jak to Frysztaczanie postąpili nierozsądnie i zauważyli, że dałoby się to jeszcze naprawić, tak, żeby kolej szła przez Frysztat, gdyby Frysztaczanie ponieśli kosztów nowych pomiarów w wysokości 500 złr. Ale Frysztaczanie zostali na warcie przy stodołach, które zresztą później spaliły się bez przyczynienia się do tego kolei. Frysztat wskutek

takiego niezrozumienia interesu miasta przez mieszkańców nie podniósł się wcale, gdy tymczasem Cieszyn i sąsiednia Karwina poszły w górę. Już teraz nawet jest we Frysztacie inaczej, niż bywało za życia starego hr. Larischa, który w Frysztacie bawił. Cały dzień roiło się przed zamkiem, powozy przyjeżdżały i odjeżdżały, panowie i panie wyjeżdżali konno, a różni goście z dalsza i bliższa przybywali tu w gościnę, tak n. p. hr. Larischowie z Wielkich Kończyc, baron Mattencloît z Orłowej, dalsza szlachta, ministrowie i inni. A jakże to odświeżnie wyglądał Frysztat w dzień wesela młodego hrabiego Henryka, gdy przyjechał w odwiedziny następcą tronu Rudolf lub sam cesarz. Jakie to bramy tryumfalne, jakie oświetlenie miasta i drogi do kolei w Karwinej, jaka masa górników z lampkami, jakie mnóstwo narodu z bliższa i z dalsza, a to wszystko w radosnym nastroju!

Niestety wszystko się zmieniło. Hrabia Henryk się ożenił, a wybudowawszy wspaniały zamek w Solcy, przeniósł się tam na stałą siedzibę, hrabia Eugeniusz i hrabina w Wielkich Kończycach pomarli, córka Fanny Larischowa także zmarła, a nareszcie przyszła kolej na starego hrabiego Jana Larischa. Umarł w Anglii, ale przewieziony został do Frysztata i tam pogrzebany. Bóg wie, czy jeszcze odżyje kiedy frysztacki zamek.

Frysztat, gdzie dawniej rzadko było można słyszeć słówko niemieckie (a znam to miasto od r. 1843) zaczyna się niemczyć. Winne temu szkoły, w których polskie dzieci muszą się uczyć po niemiecku. Gdy w r. 1880 odbywał się spis ludności, starosta frysztacki Klingner odezwał się zafrasowany w publicznym lokalu: „Skądże my tu nabierzemy Niemców?” Widocznie ich nie było w rzeczywistości, ale na papierze znaleźli się, gdyż każdy, co umiał powiedzieć „Gut Morgen“ zaliczony został do Niemców. Taki sztucznie sfabrykowany Niemiec oczywiście i w domu i we wszystkich stosunkach z ludźmi mówił tylko po polsku, bo inaczej nie

umiał. Ponieważ pod koniec r. 1900 znowu odbędzie się spis ludności, a jak wiadomo mamy na Śląsku wielu przyjaciół, którzyby nas chcieli zaliczyć do rzeszy niemieckiej, przeto niech każdy Ślązak pamięta o tem, że to grzech narodowy przekabacić się na Niemca i że taki człowiek, co się wyrzeka swej narodowości, nie nie wart.

Do Cieszyna jeździłem częściej utrzymując ciągle stosunki ze znajomymi prezbiterami i rolnikami, gdyż od nich najprędzej mogłem się dowiedzieć, co się dzieje w prezbiterstwie i w naszych towarzystwach. Bardzo żałowałem, że nie mogłem działać w samym Cieszynie. Gdy założono w Cieszynie Towarzystwo pomocy naukowej, niejedyn grosz wpłynął do jego kasy za mojem pośrednictwem, postawiłem też wniosek, aby osoby składające od razu kwotę, z której roczny procent wyniesie 1 złr. a więc równać się będzie jednorocznej wkładce członków, uważane były za członków wieczystych. Że ta myśl przyczyniła się do podniesienia dochodów Towarzystwa, wynika z protokołów. We Frysztacie nie miałem zresztą pola do szerszej działalności. Powstała tylko za mej tamże bytności i za mojem przyczynieniem się Filia Towarzystwa oszczędności i zaliczek w Cieszynie (odezwa z grudnia 1876).

Nareszcie zaświeciła mi nadzieja przeniesienia się na powrót do ukochanego Cieszyna. Umarł notaryusz Farnik. Pragnąłem dostać się na jego miejsce i dołożyłem w tym celu wszelkich starań, byłem nawet w Wiedniu u ministra. Ale zdawało się, że posadę otrzyma notaryusz Kadrnożka, mający silne poparcie ministra Prażaka. Ostatecznie zwyciężyła moja kandydatura, poparta, jak sędzę, skutecznie przez rodzinę Larischów.

Cieszyn. Dnia 25. lipca 1881 zamknąłem kancelaryę w Frysztacie, a dnia 1. sierpnia tegoż roku otworzyłem kancelaryę w Cieszynie. Dochody w Cieszynie były mniejsze niż w Frysztacie, ale brak pracy urzędowej i chlebobdajnej

umożliwił mi pracę nad podręcznikiem prawniczym. Skończyłem go w przeciągu roku, wyszedł w r. 1883, objętości 20 arkuszy. Jakże się ucieszyłem, zobaczywszy oprawny w półskórek egzemplarz! Przeznaczywszy pewną liczbę na prezenta dla znajomych, oddałem 500 egzemplarzy oprawnych księgarzowi Kotuli do sprzedaży, resztę (750 egz. nieoprawnych) złożyłem u siebie. W tym samym czasie przygotowałem, zachęcony przez Dra Bystronia, zbiór śląskich przysłów do druku, które wyszły u Feitzingera w Cieszynie w r. 1883. W tymże roku wyszły moje pieśni ludu śląskiego w publikacjach Akademii umiejętności w Krakowie.

Prace literackie. Zabrałem się teraz do podręcznika dla gmin zawierającego ustawy z objaśnieniami, których znajomość każdemu obywatelowi w gminie jest potrzebna, zwłaszcza zaś radnym i przełożonym gminy. Robota była wielka, bo trzeba było ustawy tłómaczyć z niemieckiego, a następnie objaśniać. Tłómaczeń innych nie było albo były liche, jak n. p. wydane przez rząd krajowy w Opawie. A ustawa musi być przetłómaczona nie tylko zrozumiale, ale wiernie, aby nie było możliwe różne jej zrozumienie. Pomagał mi w niektórych wątpliwościach komisarz, późniejszy starosta Zopot. Ustawa gminna i wyborcza (12 ark. druku) wyszła w r. 1884 i stanowiła I. część podręcznika dla gmin. Dalsze ustawy odłożyłem na później, bo chciałem się przekonać, jak też ta praca moja przyjętą i ocenioną będzie. Natomiast zabrałem się do uzupełnienia Słownika dyalektologicznego, do którego materiały gromadziłem od dawna, już za czasów uniwersyteckich. Nie miałem zamiaru ogłaszać tej pracy drukiem, chciałem tylko zebrać i opracować materiał dla przyszłego leksykografa, gdyż nie będąc językoznawcą z powołania, nie czułem się na siłach postawienia tej pracy na wysokości badań językowych, a nie chciałem się puszczać na morze bez wiosła. Za podstawę służył mi słownik Lindego. Wpisywałem do mojego słownika wyrazy śląskie, których

Linde nie ma, albo, które u nas inne mają znaczenie. Praca była mozolna, przeczytałem cały sześciotomowy słownik Lindego i tak po długim czasie Słownik był skończony. Ale też sowicie zostałem nagrodzony za tę pracę. Akademia umiejętności w Krakowie na dorocznym zgromadzeniu z dnia 29. maja 1889 przyznała tej pracy drugą nagrodę w kwocie 337 rubli. Sporządziłem dwa egzemplarze tego słownika; jeden znajduje się w Akademii, przeznaczony do druku, drugi w Silezyace, a tymczasowo u mnie.*)

Praca w zborze. Pracy w Cieszynie nie brakło. Wybrany zostałem do prezbyterstwa, nie tak łatwo, jak dawniej. Za przybyciem Dra Haasego do Cieszyna powstało pod jego przewodnictwem stronnictwo niemieckie, które zaczęło przewracać do góry nogami wszystko, co zdziały dawniejsze prezbyterstwa. Chodziło o zniemczenie, jeżeli już nie całego zboru, to przynajmniej jego przewodników. W Cieszynie mnie też nie wybrano do większego zastępstwa, lecz w Kotach. Tak się mnie bali cieszyńscy ewangelicy Niemcy, zwłaszcza mieszkańcy placu kościelnego. Większe zastępstwo wtenczas jeszcze w większości narodowe, wybrało mnie także prezbyterem.

Rozpatrzywszy się w sprawach zborowych, widziałem, co zrobiono i czego nie zrobiono podczas mej nieobecności

*) Oba egzemplarze znajdują się obecnie w rękach prof. Bystronia w Krakowie. Akademia słownika nie wydrukowała pomimo kilkakrotnego nalegania ś. p. autora. Słownik zawiera cenny materiał językowy i należałoby go wydać.

Przyp. Redakcyi.

Wydawca Pamiętnika ś. p. Cinciały dotąd z jego tekstu opuszczał tylko to, co mogło mieć wartość tylko dla rodziny albo mogło dotknąć osób żyjących. Ponieważ w części Pamiętnika, na którą teraz przyszła kolej, jest mowa o naszych instytucjach istniejących i o osobach żyjących, wydawca sądzi, że ogłosić tej części zapisków ś. p. Cinciały teraz nie można, gdyż przez to Pamiętnik straciłby swój właściwy charakter. O ile jednak wydawca sam może sądzić o sprawach i osobach będących przedmiotem dalszych części Pamiętnika, musi przyznać, że przedstawienie jest przedmiotowe i z małymi wyjątkami spokojne. Niektóre ustępy z ostatnich części Pamiętnika wydawca ogłasza.

w Cieszynie. Z dawnych kolegów pozostało tylko trzech, zresztą wszystko nowi ludzie. Za moich czasów uchwalono założyć szpital ewangelicki na uczczenie 400-letniego jubileuszu urodzin Marcina Lutra i nowy cmentarz przy drodze polskiej i powiększyć budynek alumnejski z funduszków oszczędzonych z gospodarki alumnejskiej. Kupiono także tak zwaną Engelmankę, budynek leciwy, drewniany, między gimnazjum i starym cmentarzem, wprawdzie za drogie pieniądze, ale dla zaokrąglenia posiadłości zborowej koniecznie potrzebny. Po sześciu latach już się o mnie nikt nie troszczył i do prezbyterstwa już wybrany nie zostałem.

Gdy powstało Towarzystwo ewangelickie oświaty ludowej, zapisał się także ks. Haase, ale gdy go nie wybrano prezesem, założył własną Czytelnię ewangelicką w domu p. Skalki.

Jeszcze za czasów pierwszego prezbyterstwa w r. 1863 powstała w zborze myśl założenia szkoły dla dziewcząt ewangelickich wiejskich połączonej z alumnatem, w którejby córki zamożniejszych gospodarzy mogły się po ukończeniu szkoły wykształcić dalej w tem wszystkiem, co im będzie potrzebnem w życiu. Był zwyczaj posyłania takich dziewcząt do Bielska, ale tam nasze dziewczyny prócz niemieczyny i jakiejś niepotrzebnej a nawet zgubnej fajnoty nic się innego potrzebnego do życia i gospodarstwa nie nauczyły. Zbór okazał gotowość założenia takiej szkoły i cfiarował na ten cel bezpłatnie potrzebny lokal, ale po mojem odejściu z Cieszyna sprawa ta jakoś zasnęła. Wprawdzie później zaczęto się nibyto krzątać koło tej sprawy, zbierano nawet składki na ten cel, które podobno urosły do kilku tysięcy. Aż tu wieść niesie, że ks. Haase zakłada szkołę dla dziewcząt — ale pytanie, czy zakład ten prowadzony będzie w duchu tych, od których myśl ta wyszła.*)

*) Zakład założony przez ks. sup. Dra Haasego jest alumnatem dla dziewcząt uczęszczających do różnych szkół miejskich, szkoła,

Praca w Czytelni. Po powrocie moim do Cieszyna zostałem wybrany do wydziału Czytelni. Czytelnia znajdowała się w stanie nieświeżym, gdyż na walnem zebraniu w maju r. 1882 pokazało się, że Czytelnia miała 2700 złr. długu i zaległych wkładek nieściągalnych 300 złr. Wobec takiego położenia Czytelni trudno było przyjąć wybór do wydziału. Z wydziału starego przeszedł do nowego tylko Filasiewicz. Mnie wybrano prezesem. Zaczęliśmy się krzątać około uporządkowania Czytelni. Czynność nasza szła w dwu kierunkach. Chodziło nam o rozbudzenie życia towarzyskiego w Czytelni i uporządkowanie finansów, co nie było zadaniem łatwym. Urządziliśmy co tydzień zebrania członków na pogadankę, wieczór grano w bilard. Zaprowadzono także naukę śpiewu, kupiliśmy także fortepian po Makowskim, byłym właścicielu bazaru, za 200 złr. z dobrowolnych składek. Wszelkie adaptacje w Czytelni sprawiały się także ze składek. Niestety po spaleniu się Ringteatru w Wiedniu zakazano w Czytelni przedstawień amatorskich, które przedtem ściągały lud do Czytelni. Proszono mnie, jako dobrego znajomego burmistrza Dra Demla, abym go w imieniu Czytelni prosił o cofnięcie zakazu, wydanego oczywiście nie z obawy przed pożarem, lecz dla zgnębienia znienawidzonej przez Niemców Czytelni. Przedstawiłem Demlowi tę sprawę, lecz on oświadczył, że zakazu cofnąć nie może: „Verlangen Sie von mir, was Sie wollen, aber polnische Vorstellungen in der Czeletnia werde ich nicht bewilligen.“ Odbyły się wprawdzie na żądanie Wydziału Czytelni różne komisye, mające na celu zbadanie, czy rzeczywiście sali Czytelni grozi niebezpieczeństwo pożaru, ale komisye postawiły tak trudne do wykonania warunki, że musieliśmy się wyrzec przedstawień amatorskich i koncertów.

jaka miała na myśli prezbitersko, miała być czemś w rodzaju szkoły gospodarczej, jaka zakłada dziś „Towarzystwo rolnicze“. Fundusze zebrane przez prezbitersko są, o ile n n wiadomo, nienaruszone

Red. .

Według pamiętnika jubileuszowego Czytelni ludowej z r. 1887, Czytelnia liczyła z końcem roku 1886:

10 założycieli płacących po 10 złr.	100 złr.
39 członków z Cieszyzna płacących po 4 złr.	156 „
58 członków ze Śląska płacących po 2 złr.	116 „
38 członków z Galicyi płacących po 2 złr.	76 „
145 członków	448 złr.

Były jeszcze dochody ze sali (z których trzeba potrącić wydatek na oświetlenie), a Towarzystwo zaliczkowo pła ciło za używanie mebli czytelnianych, co razem mogło wynieść 150 złr. czyli, że całkowity dochód wynosił około 600 złr. Wydatki zaś wynosiły: lokal 700 złr., służa, oświetlenie, opał i inne wydatki około 500 złr., razem 1200 złr.; brakowało więc 600 złr. do pokrycia najniezbędniejszych wydatków. Celem pokrycia niedoboru opodatkowano wszystkie towarzystwa narodowe za używanie lokalu Czytelni, a ponieważ tych towarzystw było 9, więc był jaki taki dochód. Gazety, które Czytelnia od redakcyj odbierała bezpłatnie, dotąd brał sobie, kto chciał, teraz zaprowadzono na nie licytację, z której wpływało rocznie około 70 złr. Salę wynajmowano na lekye tańców, na zabawy karnawałowe, na koncerty, obiady i t. p. Tak więc z biedą pokrywano bieżące potrzeby, ale pozostały długi z dawniejszych lat. Trzeba było uciec się do zamożniejszych członków o pomoc. Największą kwotę złożył nasz dawny przyjaciel, który zawsze gorąco zajmował się naszym krajem, Ignacy Żółtowski z Krakowa, ofiarując na ten cel 800 złr. jako pożyczkę bezprocentową, Ślązacy zaś dali po setce. Ale tym sposobem klin klinem wybito, a tu trzeba było rzecz radykalnie załatwić. Wydział więc miał zadanie trudne, gdyż na pokrycie starych długów trzeba było zaciągać nowe setki. Odetchnęliśmy wszyscy, gdy p. Żółtowski oświadczył, że daną nam pożyczkę 800 złr. przeznacza jako dar dla Czytelni. Także adwokat cieszyński, Dr. Sokal, darował swoją setkę, również jubi-

leusz Czytelni coś przyniósł. Później pokryliśmy resztę długów przez różne starania i zabiegi, tak, że nikt ani grosza nie stracił. Powszechna była radość, gdy na walnem zebraniu w r. 1890 mogłem oświadczyć, że wszystkie długi Czytelni są zapłacone.

Zaraz po założeniu Czytelni myślano o uwotrzeniu tak zwanego funduszu żelaznego. Pierwszy dał prezes Czytelni Dr. Klucki na ten cel obligacyę dawnej pożyczki narodowej na 20 złr. Później ten fundusz się nie powiększał, aż dopiero w czasach nowszych — ale jeszcze przed mojem wstąpieniem do Wydziału — zaczęto na nowo myśleć o funduszu żelaznym. Zaprowadzono tak zwane centowe składki. Członek przystępujący do klubu „centaków” składał codziennie centa, co uczyniło na rok 365 centów. Gdy wstąpiłem do Wydziału, fundusz ten wynosił przeszło 1200 złr. Mojem staraniem było nadal fundusz ten powiększyć i rzeczywiście do końca r. 1889 zebrano około 3000 złr., tak, że z końcem tego roku fundusz żelazny wynosił przeszło 4000 złr. (P. sprawozdanie z r. 1889). Chciałem ten fundusz doprowadzić do 20 tysięcy, aby Czytelnia mogła z procentów żyć.

Zawiązkiem biblioteki Czytelni był zbiór książek w różnych językach słowiańskich dawniejszego Towarzystwa uczących się języka polskiego na ewangelickiem gimnazjum w Cieszynie z r. 1847. Zbiór ten pomnożony został darami rodaków i urosł znacznie. Znakomicie powiększony został bogatym darem ks. kanonika Teligi z Krakowa, który Czytelni ofiarował swój księgozbiór. Znajdują się w tej bibliotece cenne stare książki polskie i wiele ważnych dzieł treści teologicznej. Dalsze znaczne powiększenie biblioteki zawdzięcza Czytelnia p. Ignacemu Bagińskiemu, obywatelowi z Odessy, który okazał się bardzo ofiarnym dla naszego kraju, gdyż ofiarował znaczną sumę na rzecz Macierzy szląskiej. Pamięć tego zacnego męża nigdy u nas zagać nie powinna. Bagiński miał być pewnego czasu w Cieszynie dla zaznajomienia się

z naszymi stosunkami. Pewnego razu otrzymałem od Dra Dłuskiego z Odesy list tej treści, że Bagiński jest chory a chciałby jeszcze za życia rozporządzić biblioteką, zapytuje się więc, czyby Czytelnia tej biblioteki nie przyjęła. Wydział Czytelni uchwalił z wielką wdzięcznością przyjąć bibliotekę i nie za długo nadszedł ten skarb w 16 wielkich pakach ważący razem przeszło 3000 kilogramów.

Akademicy krakowscy w Czytelni. W sprawie przyjazdu akademików krakowskich do Cieszyina korespondo wałem dłuższy czas z p. Górskim. Nareszcie nadeszła depesza, że przeszło 40 akademików jest w drodze do Cieszyina. Wybrano do tych odwiedzin dzień naznaczony na Wieczorek Mickiewiczowski. Akademików przyjmował na kolei osobny komitet. Po odpowiednim przemówieniu, akademicy zaśpiewali po polsku i po rusku. W Czytelni powitałem ich jako prezes, poczem znowu akademicy zaśpiewali pobudkę. Poczem w Czytelni odbyła się wieczerza i zabawa trwała do późnej nocy. Nazajutrz, w niedzielę, goście zwiedzali kościoły i byli na zamku, gdzie z wieży piastowskiej zaśpiewali hejnał. Tegoż dnia byli akademicy u mnie, a po przemowie naczelnika zaśpiewali znów pobudkę po polsku i po rusku. Była to dla mnie tak wielka niespodzianka, że moje przemówienie się jakoś poplątało. Wieczór odbył się Wieczorek Mickiewiczowski, w którym akademicy wzięli udział. Program zwabił mnóstwo ludzi do Czytelni, że było, jakby nabił. Gdy się odezwał chór akademicki, to aż się trzęsła Czytelnia. Wszystkie produkcyje udały się jak najlepiej i panowało w zgromadzeniu ogólne zadowolenie. Czesi winszowali nam tego powodzenia. Po wieczorku odbyła się uczta w Czytelni; przemówień przygotowanych i nieprzygotowanych było bez liku i bawiono się jak najlepiej aż do późnej nocy. W poniedziałek po obiedzie udali się akademicy w towarzystwie naszych do Trzyńca, a stąd do Stonawskiego w Dolnej Lesznej, gdzie ich przy-

jęto bardzo gościnnie. Z Trzyńca wrócili na Cieszyn do Krakowa. Towarzystwo nasze było formalnie zelektryzowane i długo nam te miłe chwile zostały w pamięci. Miał być opis tej wycieczki upamiętniony w rocznikach Czytelni, ale do tego nie przyszło. Natomiast akademicy uczynili wzmiankę o niej w sprawozdaniu rocznem.

Jubileusz Czytelni. Uroczystość jubileuszowa Czytelni odbyła się dnia 6. lutego 1887 po walnem zebraniu Czytelni. Wobec licznego zgromadzenia (i komisarza rządowego) zagailem uroczystość przemówieniem, w którem skreśliłem przebieg prac narodowych od pierwszego przebudzenia się naszego, to jest od założenia towarzystw uczących się języka polskiego na ewangelickiem gimnazyum aż do otwarcia Czytelni (1847—1861). Potem Dr. Dyboski miał mowę jubileuszową, w której przedstawił czynności Czytelni podczas 25 lecia. Następnie przemawiali przedstawiciele innych towarzystw narodowych: Dr. Fischer, ks. Świeży, Gryczowie, Stonawski, Sikora, Mamica, Kotula, Jerzy Cieńciała, ks. Janik, ks. Fr. Michejda, Głajcar, Kubisz. Filasiewicz odczytał telegramy nadeszłe z Opawy, Białej, Warszawy, Frysztatu, Wadowic, Przemyśla, Zatora, Andrychowa, Bogumina, Paryża, Krakowa, Lwowa (razem 51) i 10 listów gratulacyjnych. Wzniesiliśmy następnie okrzyk na cześć Najjaśniejszego Pana i uprosiłem komisarza rządowego, aby na właściwem miejscu przedstawił objawy lojalności ludu polskiego na Śląsku do tronu i dynastji. Właściwa uroczystość skończyła się o godzinie 9., ale zabawa przeciągnęła się do rana i jak najlepiej się udała. Po uroczystości wydano drukiem Pamiętnik jubileuszu w 500 egzemplarzach. Jubileusz Czytelni i odwiedziny akademików krakowskich były dwie najpiękniejsze gwiazdy na firmamencie Czytelni podczas mojego prezesostwa.

Towarzystwo naukowej pomocy. Po powrocie do Cieszyna wybrany zostałem do wydziału tego towarzystwa. Na

posiedzeniach zwykle Stalmach badał z kasyerem stan kasy. Raz do roku tylko, gdy chodziło o rozdzielanie funduszków pomiędzy proszących, posiedzenie było bardziej ożywione. Mnie nie podobał się sposób rozdzielania zapomóg, dawano bowiem wielu proszącym małe datki, z których proszącemu nie wiele przyszło. Celem Towarzystwa jest wspomaganie młodzieży, aby mogła się wykształcić w duchu narodowym, a osiadłszy kiedyś na Śląsku, pracować dla dobra ludu. Stypendyści Towarzystwa jednak nie bardzo się poczuwali do tego obowiązku. Aby przysporzyć majątku na stypendya dla uczącej się młodzieży, przedsięwziąłem następującą operacyą. Ks. Alojzy Pukalski, biskup Tarnowski, zapisał w testamencie cały majątek bratu Janowi Pukalskiemu w Cieszynie z warunkiem, aby połowę tego majątku ustąpił Janowi Passendorfowi na używanie. Po jego śmierci ta połowa miała być obróconą na stypendya dla ubogich studentów. Ponieważ biskup rozporządzeń co do tych stypendyów nie zostawił, chciałem z tego skorzystać i stypendya skierować na Śląsk. Nakłoniłem tedy spadkobiercę Jana Pukalskiego w Cieszynie, aby on jako dziedzic uniwersalny co do majątku przeznaczonego na stypendya poczynił rozporządzenia, do czego był kompetentny. Chętnie się na to zgodził. Sporządzony tedy został przedemną dnia 9. maja 1887 akt notaryalny, mocą którego, odwołując się na testament zmarłego biskupa i śmierć Passendorfa, Jan Pukalski rozporządził, iż majątek ma być obrócony na stypendya dla ubogich i pilnych studentów, urodzonych w Księstwie Cieszyńskiem i pobierających nauki w Cieszynie.

Pukalski mianował Towarzystwo naukowej pomocy kuratorem i wykonawcą tej fundacyi, gdyż on sam dla podeszłego wieku (83 lat) i choroby tą sprawą osobiście zająć się nie może. Coś innego nie dało się w tej sprawie zrobić, a przecież odezwać się było trzeba, choćby dla tego, aby zwrócić uwagę Wydziału krajowego galicyjskiego na młodzież

śląską. Podobno z Wydziału krajowego nadeszła odpowiedź, że majątkiem po biskupie Pukalskim już inaczej rozporządzono. Szkoda, przeszkoda! Majątek ten wynosił 50.000 złr. Późniejsze starania na nic się nie przydały.

Polityczne Towarzystwo ludowe. Po śmierci Kluckiego nie było jakoś przywódcy sprawy narodowej na Śląsku. Za jego życia wszystkie oczy były zwrócone na niego. Po jego śmierci każdy raczej na siebie niż na kogo innego zwracał oczy. Dawała się więc coraz bardziej uczuć potrzeba Towarzystwa, któreby objęło kierownictwo spraw narodowych, Ale jakoś zamiast Towarzystwa ogólnego przyszło do utworzenia „Związku śląskich katolików”. Ale także to stronnictwo, które w dzieleniu się w sprawach politycznych na obozy wyznaniowe upatrywali za rzecz zgubną, założyło Towarzystwo, którego statut został zatwierdzony w dniu 5. marca 1884, tak że pierwsze walne zebranie mogło się odbyć dnia 16. kwietnia 1884, na którym także wybrano Wydział z 9 członków. Sprawozdanie z tego zgromadzenia z przemówieniami (była n. p. mowa ks. Franciszka Michejdy o solidarności) ogłoszone zostało drukiem jeszcze w kwietniu 1884. Na tem zebraniu zapisało się członków 85. Większa część była ewangelików, ale byli także i katolicy. Do Wydziału wybrano trzech katolików, z których jeden był rolnik. Chodziło o zainteresowanie całej ludności śląskiej sprawami narodowymi i politycznymi. Towarzystwo nazwało się „Polityczne Towarzystwo ludowe”. Stalmach niechętnie patrzył na nowe towarzystwo i pisał przeciw niemu, tak że nawet „Czas” krakowski w artykule „Ziemie polskie” z dnia 7. maja 1884 Nr. 106. „Związek śląskich katolików” okazał się bardzo ruchliwym. Odbywał często zebrania w różnych miejscowościach i wydawał broszurę pod nazwą „Poseł”. W pierwszym numerze „Poseł” zwrócił się przeciw ewangelikom, na co mu odpowiedziano również broszurą, która wprawdzie nie wyszła z obozu towarzystwa, ale doświadcza, że kłótnie

i swary wyznaniowe są szkodliwe i że lepiej żyć w zgodzie niż w niezgodzie.

Nie zadługo po wejściu w życie Towarzystwo polityczne zwołało zgromadzenie ludowe do Ustronia na dzień 25. maja 1884. Zebrała się wielka liczba ludzi, a ponieważ starostwo bielskie (Klingner) zakazało odbywania narad pod gołym niebem, musiano się uciec do sali hotelowej, w której ani połowa zgromadzonych nie znalazła miejsca, reszta musiała stać przed oknami. Mówiono o równouprawnieniu języka polskiego w sądach, urzędach politycznych i w szkołach. Przeciw zakazowi odbycia zgromadzenia pod gołym niebem wniesiono rekurs, który załatwiła pomyślnie dopiero najwyższa instancja, trybunał państwa, który orzekł, że przez zakaz ten została naruszona ustawa zasadnicza o sprawie zgromadzenia się. „Czas” krakowski wydrukował o tem zgromadzeniu przychylny artykuł z dnia 8. czerwca 1884 Nr. 131.

Drugie zgromadzenie ludowe odbyło się w Ligotce kameralnej dnia 6. lipca 1884. Ludu było daleko więcej niż w Ustroniu, a narady odbyły się pod gołym niebem. Przemawiano o potrzebie Towarzystwa, domagano się równouprawnienia językowego, omawiano wybory i była także mowa o potrzebie ustawy przeciw pijaństwu. Na to zgromadzenie przybyli z Krakowa pp. Żółtowski, hr. Rey, redaktor „Czasu” Hopcas i prof. Molin. Zgromadzenie powiodło się jak najlepiej, ale u Stalmacha łaski nie znalazło. W r. 1885 (dnia 2. maja) odbyło się walne zgromadzenie, na którem omawiano pomiędzy innemi sprawami wybory do Rady państwa. W r. 1885 Towarzystwo wydało drukiem obszernie sprawozdanie ze swych czynności. Później Towarzystwo jakoś się nie rozwijało należycie.

Dom narodowy w Cieszynie. Nasze przysłowie: „Mądry Polak po szkodzie” sprawdziło się jak najzupełniej w sprawie

bazarowej.)* Domu Narodowego, któryby był własnością towarzystw narodowych na Śląsku, nie można było budować za pożyczone pieniądze, pożyczone na 6%, które niekiedy trzeba było zwracać na krótki termin. Nie można też było stworzyć spółki handlowej, skoro nikt z nas nie miał pojęcia o handlu, a tem mniej wykształcenia handlowego. Takim przedsiębiorstwom można było w samych początkach przepowiedzieć śmierć. Przyszliśmy więc do przekonania, że sprawę Domu Narodowego trzeba oprzeć na zdrowym, rozumnym fundamencie. Dom Narodowy w Cieszynie potrzebny nam jest jak głodnemu chleb. Polacy w Cieszynie są jak na wygnaniu. W r. 1839, gdy byłem tu uczniem gimnazjum, rzadko kto z obywatelstwa mówił po niemiecku, a dziś cała inteligencja i mieszczaństwo jest niemieckie. Polacy nawet domu nie posiadają w mieście, które jest stolicą polskiego kraju. Otóż trzeba nam domu własnego, który ma rzeczywiście stanąć za staraniem „Towarzystwa Domu Narodowego”. Myśl ta zaczęła kiełkować w r. 1884, ale dopiero w r. 1887 zawiązało się „Towarzystwo Domu Narodowego” na podstawie statutu zatwierdzonego d. 24. maja 1887. Z początku nadchodziły dosyć spore wkładki, zwłaszcza z poza Śląska, ale i nasi zaczęli się krzątać. Aby zaznajomić Polaków śląskich i pozaśląskich o znaczeniu i celach Towarzystwa, Wydział wydał broszurę z datami statystycznymi o ludności śląskiej i z odezwą do narodu o poparcie Ślązaków w tem przedsięwzięciu. Drugie wydanie tej broszury wyszło w październiku 1891 r.; zresztą wychodzą także coroczne sprawozdania.

Towarzystwo rolnicze dla Księstwa Cieszyńskiego.

Wspomniałem już poprzednio o bezskutecznych zabiegach

*) „Bazar Cieszyński”, spółka handlowa założona w skutek rady przyjaciół z Krakowa, ponieważ naówczas nie było można otrzymać rządowego pozwolenia na „Dom Narodowy” jako fundacyą, był pierwszą próbą dojścia do „Domu Nar.”, która się nie udała. *Red.*

ludzi dobrej woli, którzy już w r. 1862 chcieli w Cieszynie założyć Towarzystwo rolnicze. Może 5 lat później rząd się nie sprzeciwił, Towarzystwo powstało, a na czele jego stanął Jerzy Cieñciała z Mistrzowic. Towarzystwo pod dobrem kierownictwem i wskutek utrzymania porządku we wszystkich sprawach, regularne posiedzenia Wydziału i walne zebrania coroczne, rozwijało się pomyślnie. Obok naszego Towarzystwa powstała w Cieszynie filiałka Towarzystwa leśniczego i gospodarczego w Opawie, do którego należeli sami panowie, verwalterzy, pisarze et consortes, którym oczywiście nie chodziło tak dalece o rolnictwo jak o cele germanizacyjne. Oczywiście także miał to być taran na Towarzystwo polskie. Towarzystwo niemieckie starało się przyciągnąć do siebie członków Towarzystwa rolniczego, aby miało kim komenderować i pomiać, a to jeszcze po niemiecku. Byli to oficerowie bez żołnierzy, sztab bez armii.

Obiecywano Towarzystwu rozmaite korzyści z tego połączenia: zapomogi, subwencye, któremi rząd obsypywał tylko filiałkę. Nieraz chwiała się sprawa, ale przecież zwyciężył zdrowy rozum. Nasze towarzystwo rozwijało się coraz bardziej. Poczęto udzielać subwencji i temu towarzystwu. Towarzystwo rolnicze rozrosło i wzmocniło się przez zakładanie Kółek rolniczych na Śląsku. Pismo „Rolnik śląski” wpływało znacznie na rozwój Towarzystwa. Jubileusz 25-letni Towarzystwa wielce się przyczynił do rozwoju Towarzystwa. Uroczystość ta pomimo słoty wypadła świetnie. Wzięli w niej udział: Rząd krajowy, Wydział krajowy, hr. Larisch i inni. Nawet Niemcy okazali życzliwość dla Towarzystwa, a „Silesia” — zawsze nam wroga — napisała hymn pochwalny na Towarzystwo i jego działalność. Jerzy Cieñciała z Mistrzowic, przez 25 lat prezes Towarzystwa, t. j. od samego początku, został odznaczony złotym krzyżem za usługi z koroną.

Chodziło także o spolszczenie szkoły rolniczej w Koco-

będzu, która w obecnym ustroju nie odpowiada potrzebie naszych gospodarzy. Służy ona raczej różnym przybłedom, którzy próbowali wszystkiego, udają się do tej szkoły, szukając w rolnictwie ostatnią ucieczkę. Gdyby obok tej szkoły przeznaczonej dla „Niemców“, których (rolników) na Śląsku nie ma, powstała dobrze zorganizowana szkoła polska zastosowana do potrzeb naszych rolników, to szkoła kocobędzka wkrótce wyzionęłaby ducha.

Towarzystwo ewangelickie oświaty ludowej założone zostało w r. 1881, statut zatwierdzony 7. sierpnia 1881. Dr. Haase, nie wybrany prezesem, założył dla swoich stronników „Czytelnię ewangelicką“, której statut został zatwierdzony 15. lutego 1882. Nastąpiło więc rozerwanie ludu ewangelickiego. Pomimo to Towarzystwo ewang. oświaty ludowej rozwijało się i rozwija dobrze. Jego skuteczna i zbawienna działalność zapisała się w pamięci i w sercach naszego ludu.

Wydaje co rok jakieś dzieło, dla członków bezpłatnie, dla nieczłonków za przystępną cenę, n. p. Postylę Lutra, historię reformacji d'Aubigne'go, postylę Dra Otta i jego rozmyślenia i kazania, dzieje kościoła chrześcijańskiego ks. Badury i t. d. Filarami tego Towarzystwa są ks. Franciszek Michejda z Nawsia i ks. Dr. Pindór w Cieszynie, który odznaczył się jako współpracownik literacki. Ks. Michejda, jako sekretarz utrzymuje ład i porządek w Towarzystwie. Towarzystwo zjednało sobie wzięcie nie tylko na Śląsku ale i pomiędzy ewangelikami w Galicyi i w Królestwie Polskiem.

Moje wydawnictwa: Po moim powrocie do Cieszyna w r. 1881, zaczęły się powtarzać pytania, czy wydam książkę prawniczą dla naszego ludu i kiedy wyjdzie. Wobec tego sądziłem, że się książka rozejdzie i w r. 1883 wydałem Podręcznik prawniczy przeznaczony dla Śląska i Galicyi, a w 1884 r. I. część podręcznika dla gmin, ustawę gminną i wyborczą, a nieco później 2. część I. tomu tylko

dla Śląska. Wydawnictwo znalazło uznanie, ale powoli się rozchodziło, zwłaszcza po śmierci Jerzego Kotuli, księgarza w Cieszynie. Śpieszyłem się z wydaniem podręcznika dla gmin i z tego powodu, aby Czesi nas w tem nie uprzedzili, rozrzucając między nasz polski lud ustawy w języku czeskim. Ja sam nie mogłem się zająć rozprzedażą, bo też ciągle nie domagałem i postanowiłem podręczniki i przysłowia sprzedać ryczałtowo Feitzingerowi, porozumiewszy się z wydziałami Domu Narodowego i Czytelnii ludowej, na których cele przeznaczyłem czysty dochód z sprzedaży.

Gdyby podręcznik nie był się rozszedł w Galicyi — około 600 egzemplarzy — i gdyby mi Wydział na podręcznik dla gmin nie wyznaczył subwencji 200 złr. — o które zresztą nie prosiłem — byłbym na tych wydawnictwach miał deficyt, ale tak wypadło czystego zysku 250 złr., które w równej części dostały się Domowi narodowemu i Czytelnii.

Silesiaca, rzeczy śląskie. Pierwsze początki tego zbioru odnieść należy do r. 1848. W ten czas zbierałem nasze, galicyjskie i wiedeńskie ulotne listy; jest ich gruby tom w ósemce. Zbierałem także ulotne listy w ćwiartce, afisze i t. p. Następnie zbierałem książki wydawane w Cieszynie, wychodzące u nas gazety (Tygodnik Cieszyński, Gwiazdkę), które posiadam w kompletach. Zaginął mi niestety gruby fascykuł podań, załatwień, rekursów i t. p. w sprawach języka polskiego na Śląsku z czasu przed r. 1848 i późniejszych. Tej zguby nie mogę odżałować. Myśl zbierania rzeczy śląskich powstała we mnie właściwie w r. 1881, gdy się dostałem do Cieszyna. Odtąd zbiór ten się znacznie powiększał. W r. 1894 wystosowałem „Odezwę” do ziomków z prośbą o przysyłanie rzeczy do Silesiaki stosownych, ale odezwa ta mało poskutkowała.*)

*) Obecnie zbiór ten według woli ś. p. Cinciały znajduje się w rękach Dra J. Bystronia w Krakowie.

Przysłowia śląskie. Przysłowia ludu polskiego w Księstwie Cieszyńskim wydałem w Cieszynie w r. 1885 u Feitzingera, dodatek był drukowany w Warszawskiej „Wiśle” r. 1888. Razem zebrałem 1150, a jeszcze drugi dodatek w „Wiśle” 162, razem więc 1312. Na tak mały kraik zaiste wielka liczba przysłów!

Dodatek.

Pierwsi szermierze na kresach Śląskich.

Było nas pięciu Ślązaków. Wszyscy kamizolkarze, wszyscy synowie chłopscy; wszyscy ewangelicy, gimnazyści cieszyńscy w jednym wieku i w jednej klasie, wszyscy kostgängerzy, wszyscy Niemcy, chociaż rodzice nasi ani słówka po niemiecku nie umieli.

Kamizolkarzami nazywano gimnazyastów, którzy zamiast surdutów nosili kamizole lub szpencery, t. j. kurtki sięgające tylko do pasa, jak je w ten czas chłopci na Śląsku nosili. Kostgängerami zaś nazywano tych uczniów gimnazjalnych, którzy stołowali się sami, a byli to przeważnie Ślązacy; resztę zaś uczniów, która stołowała się w alumnium, nazywano alumnistami. Ci pochodzili zwykle z Czech i innych krajów austriackich.

Tak wyglądaliśmy w roku 1842.

1. Kotula Andrzej, najstarszy wiekiem i największy wzrostem, pochodził z Grodziszczu pod Cieszynem, gdzie ojciec jego był chałupnikiem. Andrzej był chłopak zdatny, pilny i dobrze się sprawował. Po ukończeniu nauk w gimnazjum cieszyńskim, udał się do Preszburga (Brzetysławia) na filozofię, a po dwóch latach na wydział prawniczy do Wiednia. W r. 1848 wrócił do Cieszyna, był tu przez krótki

czas auskultantem, następnie udał się na Węgry jako urzędnik ksiąg gruntowych, stamtąd przeniósł się do Frysztata jako notaryusz, a w r. 1867 do Cieszyna, gdzie sprawował urząd notaryusza aż do swej śmierci w r. 1891.

Kotula przez całe życie z wielkiem zamiłowaniem poświęcił się przyrodoznawstwu i właściwie powinien był być uczonym lub profesorem. Posiadał liczne zbiory chrabąszczy, motyli, różnego rodzaju roślin. To wszystko sam zebrał i uporządkował. Nie mógł atoli zabrać się do opracowania tego materiału, chociaż go do tego zachęcano niejednokrotnie. Czas wolny Kotula chętnie poświęcał sprawom narodowym, zasilając „Tygodnik Cieszyński” („Gwiazdkę”) artykułami, pracował w Towarzystwach naukowych, zajmował się sprawami kościelnymi i szkolnymi i był na każde zawołanie gotów do pracy narodowej.

I wiersz nie był mu obcym, lubił i korespondencję w tej formie i miał podobno pozostawić po sobie większą wiązaną wierszy. Do ostatnich prac jego w tym kierunku należy wiersz: „Płaczą aniele”, odczytany na 25-letnim jubileuszu Czytelnii ludowej w Cieszynie i wydrukowany w wydanym Pamiętniku jubileuszowym.

Kotula poszedł Niemcem do Preszburga, ale tam przetańczył sobie oczy między Słowakami i poznał, że ze swoją niemieckością znajduje się na błędnej drodze i stał się tem, czem właściwie w domu był — Polakiem.

2. Bujak Jan pochodził z Wiśniewa. Jego ojciec miał tam siedlaczny grunt, który choć położony w górach, przecież przedstawiał znaczną wartość. Młody Bujak był zdolny i pracowity, dobrze się uczył. Jak zwykle nasi chłopcy i Bujak poszedł na jedno z liceów słowackich, zdaje się do Preszburga, a po ukończeniu tamże filozofii do Lwowa na wydział prawniczy. Obrał sobie następnie zawód skarbowy, doszedł aż do wysokości rangi starszego radcy skarbowego z tytułem radcy dworu. Na Węgrzech przejął się duchem

słowiańskim i poznał, że kierunek, jaki mu dało gimnazjum cieszyńskie, był fałszywy. Szkoda, że nie osiadł w Cieszynie, bo byłby tu pracował gorliwie na polu narodowym. Ale i ze Lwowa nie zapominał o Śląsku. Ubolewał, że Stalmach jako redaktor „Gwiazdki Cieszyńskiej” z czasem nadał jej niewłaściwy kierunek i w ogóle nie godził się z jego późniejszą działalnością na Śląsku. Bujak umarł we Lwowie 19. lipca 1886. O ile wiem, napisał „Kolędę wielkanocną”, drukowaną w 1871 r. w Krakowie i zebrał materyały do *Historii Socyanów w Polsce*, które atoli zaginęły. Jan Bujak nie walczył z nami w szeregach narodowych w kraju, żyjąc z dala od niego, ale zawsze był nam przychylny i należał do pierwszych, którzy się przebudzili i otrząśli z siebie jarzmo niemieckie.

3. Stalmach Paweł, syn wyrobnika z Bażanowic o milę drogi od Cieszyna. Ojciec jego przeniósł się później do Cieszyna i utrzymywał się tam z żoną z dziennej pracy. Paweł był pilny i zdolny, ale cokolwiek stronił od kolegów. Jak inni udał się po ukończeniu gimnazjum na filozofię do Węgier, stamtąd na teologię do Wiednia, a w r. 1848 wrócił do Cieszyna. Zajął się następnie redagowaniem wychodzącego tu od maja 1848 r. pisma ludowego „Tygodnik Cieszyński”, późniejszej „Gwiazdki Cieszyńskiej” przez co niewątpliwie bardzo znacznie przyczynił się do rozbudzenia życia narodowego na Śląsku. W ostatnim okresie działalność jego spotykała się niejednokrotnie z krytyką, ale tej sprawy tu poruszać nie można. Życiorys Stalmacha wyszedł w piśmie zbiorowym „Wisła” i w wspomnieniach pośmiertnych w „Gazecie Narodowej”, „Gwiazdce Cieszyńskiej” i t. d. W ogóle „Gwiazdka Cieszyńska”, będąca (aczkolwiek nie założona przez niego) bądź co bądź jego dziełem, daje nam dokładny rys jego czynności, a ponieważ i praca jego na innych polach jest jeszcze świeżo w pamięci ziomków, przeto więcej pisać tu o nich nie trzeba.

4. Heczko Jerzy, syn chałupnika z Łyżbic, zdatny, pilny, dobrze się sprawujący. Po ukończeniu nauk gimnazjalnych w Cieszynie był nauczycielem ludowym w Wrbcie na Morawie, skąd po kilku latach wrócił do szkół, a ukończywszy teologię w Wiedniu, przez dłuższy czas pastorem w Gawłowie w Galicyi, skąd przeniósł się do Ligotki, gdzie jeszcze dotąd jest w urzędzie. Napisał i wydał Kazania pod nazwą: „Pierwiastki”, modlitewnik, katechizm, broszurkę p. t. „Katolicytvo i ewangelictwo”. Najważniejszem dziełem Heczki jest polski Kancynał czyli Śpiewnik dla ewangelików, używany w zborach śląskich zamiast używanego dawniej czeskiego śpiewnika Trzanowskiego.

5. Cinciała Andrzej.

Przed nami wszystkimi był tu w Cieszynie Dr. Ludwik Klucki, rodem z Morawy — jako adwokat od roku około 1830. Był gorliwym Słowianinem, przemawiał wszędzie za równouprawieniem Słowian z innymi narodami, na Śląsku Polaków z Niemcami. Potępiał wszelki ucisk narodowościowy i pragnął objaśnić zaślepiony niemieczyzną lud wiejski, obudzić go, aby się praw swoich domagał.

Chociaż nie był biegły w języku polskim, to przecież postępowaniem swoim i wpływem, jaki w Cieszynie posiadał, przełamał pierwsze trudności i utorował nam wszystkim drogę do dalszej pracy w tym kierunku, tak że mieliśmy u niego zawsze mocny punkt oparcia. Jemu należy się prawdziwa wdzięczność za poświęcenie się sprawie narodowej, my zaś pracując nad ludem, spełniliśmy tylko swój obowiązek. Ioni pracownicy narodowi, których liczba wzrasta, są młodszy, choć niektórzy także już się starzejają.

Taki był początek obudzenia się życia narodowego w Księstwie Cieszyńskiem. I cóż tu powiedzieć Niemcom na ich gadaniny, że Śląsk został spolszczony przez wysłańców z Galicyi, starających się także o spolszczenie miast śląskich i że Śląsk znowu musi być niemieckim. Że i Czesi także

mają nieuzasadnione zachcianki co do naszego kraju, także wiadomo, dla tego właściwie na dwie strony bronić nam się trzeba.

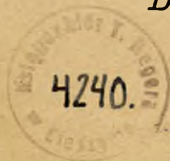
Szkic niniejszy napisałem dla tego, aby późniejsze pokolenia wiedziały, jak się rozpoczął ruch narodowy na Śląsku po sześciowiekowym odłączeniu jego od Polski i kto miał udział w tym ruchu i że Śląska naszego nie trzeba było nikomu polszczyć, bo był zawsze polskim i według zdania znawców języka do dziś dnia lud śląski zachował jak najpiękniejszą polszczyznę. Miasta nasze (Skoczów, Strumień, Frysztat, Bogumin, Jabłonków) dziś jeszcze są polskie, a także Cieszyn, który dziś jest „praniemiecki” (urdeutsch) aż do roku 1830 był na wskroś polski, co stwierdzają także niemieccy pisarze. „Bekenntnisse eines Landpfarrers” v. Schneider (Silesiaca).

Uwaga wydawcy.

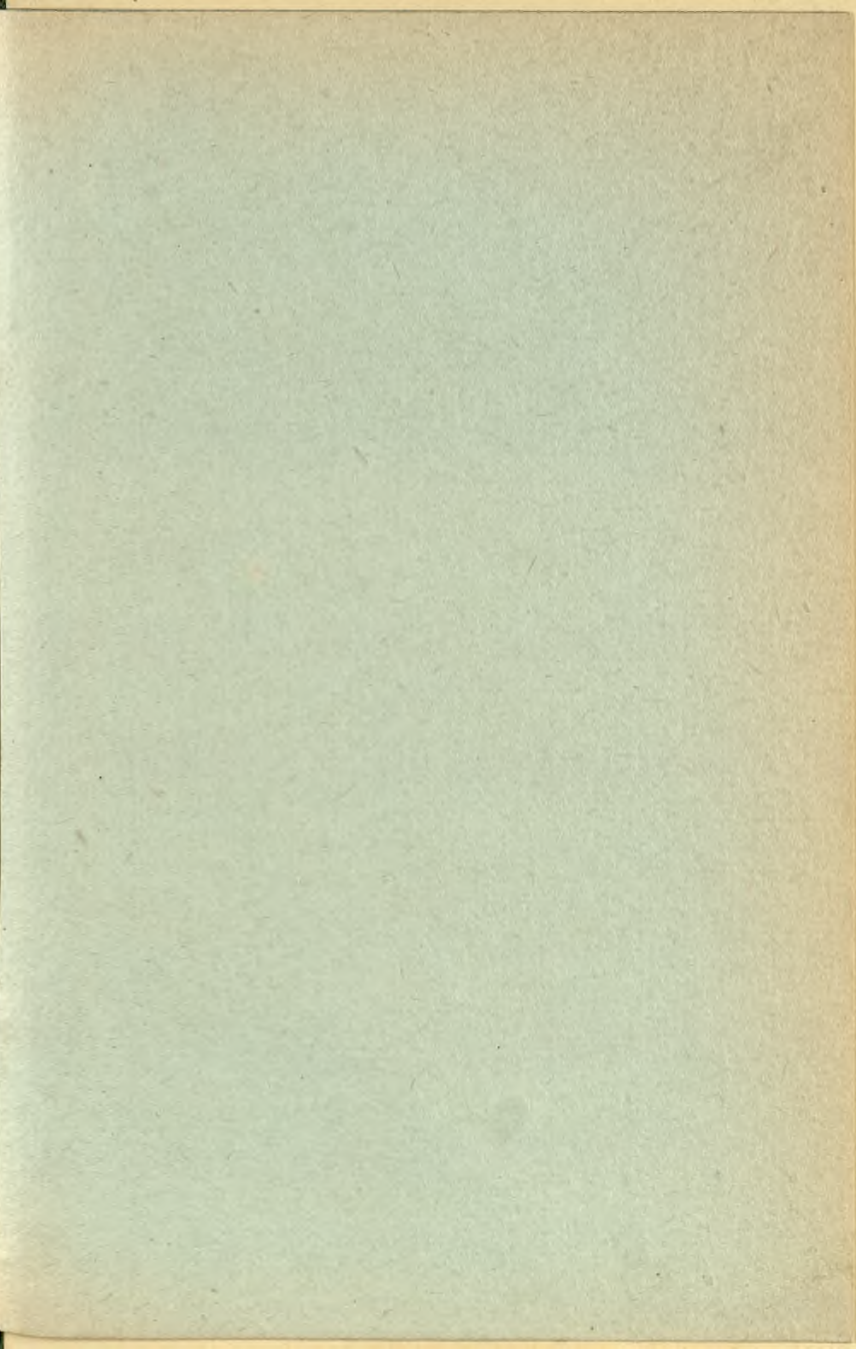
Na życzenie ks. Franciszka Michejdy przedrukowałem w ważniejsze ustępy z pamiętnika mojego teścia ś. p. Dra Andrzeja Cinciały (ur. 1825, umarł w r. 1898). Z pamiętnika opuściłem wszystko, co nie miało większego znaczenia dla ogółu i wszelką krytykę osób jeszcze żyjących.

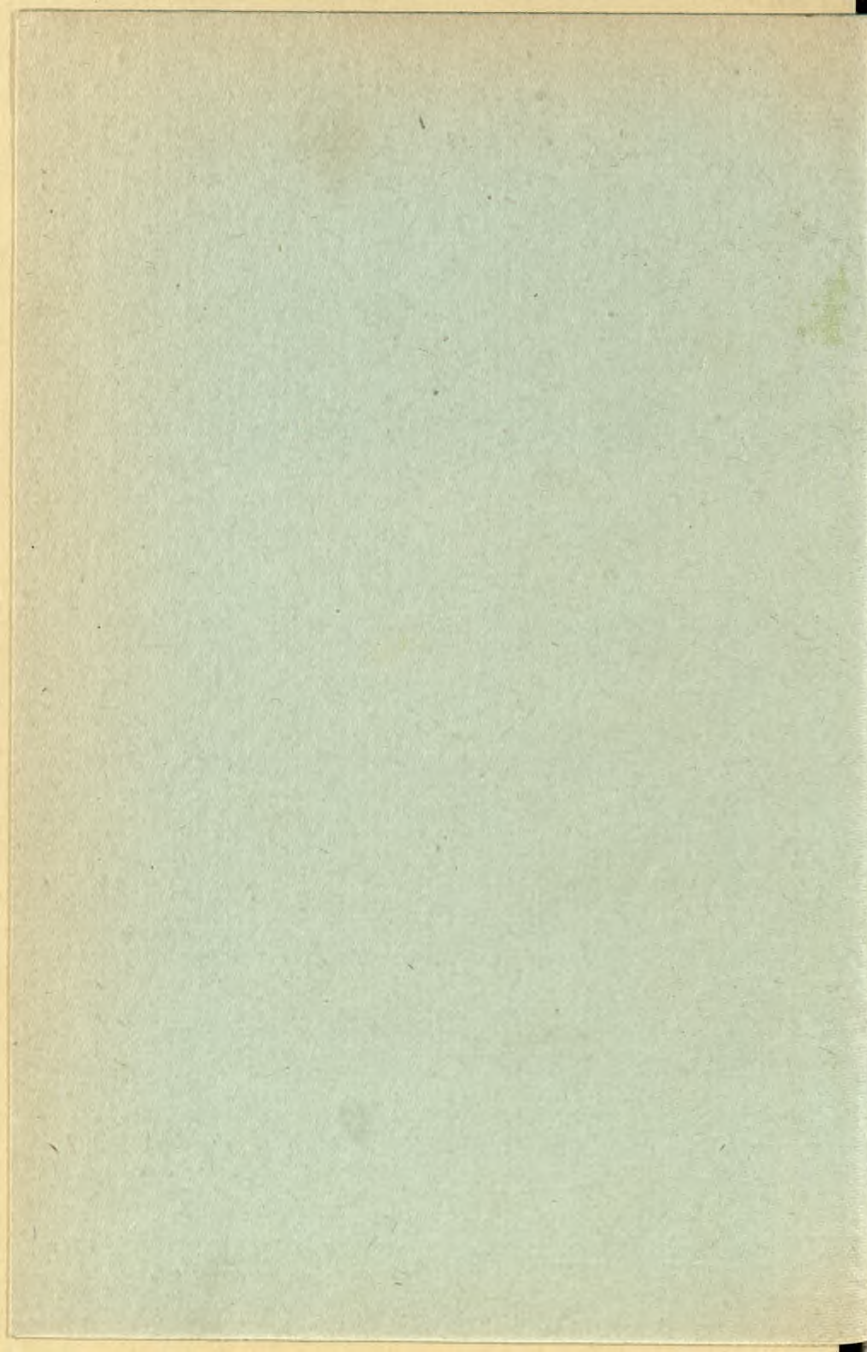
Kraków, w grudniu 1899.

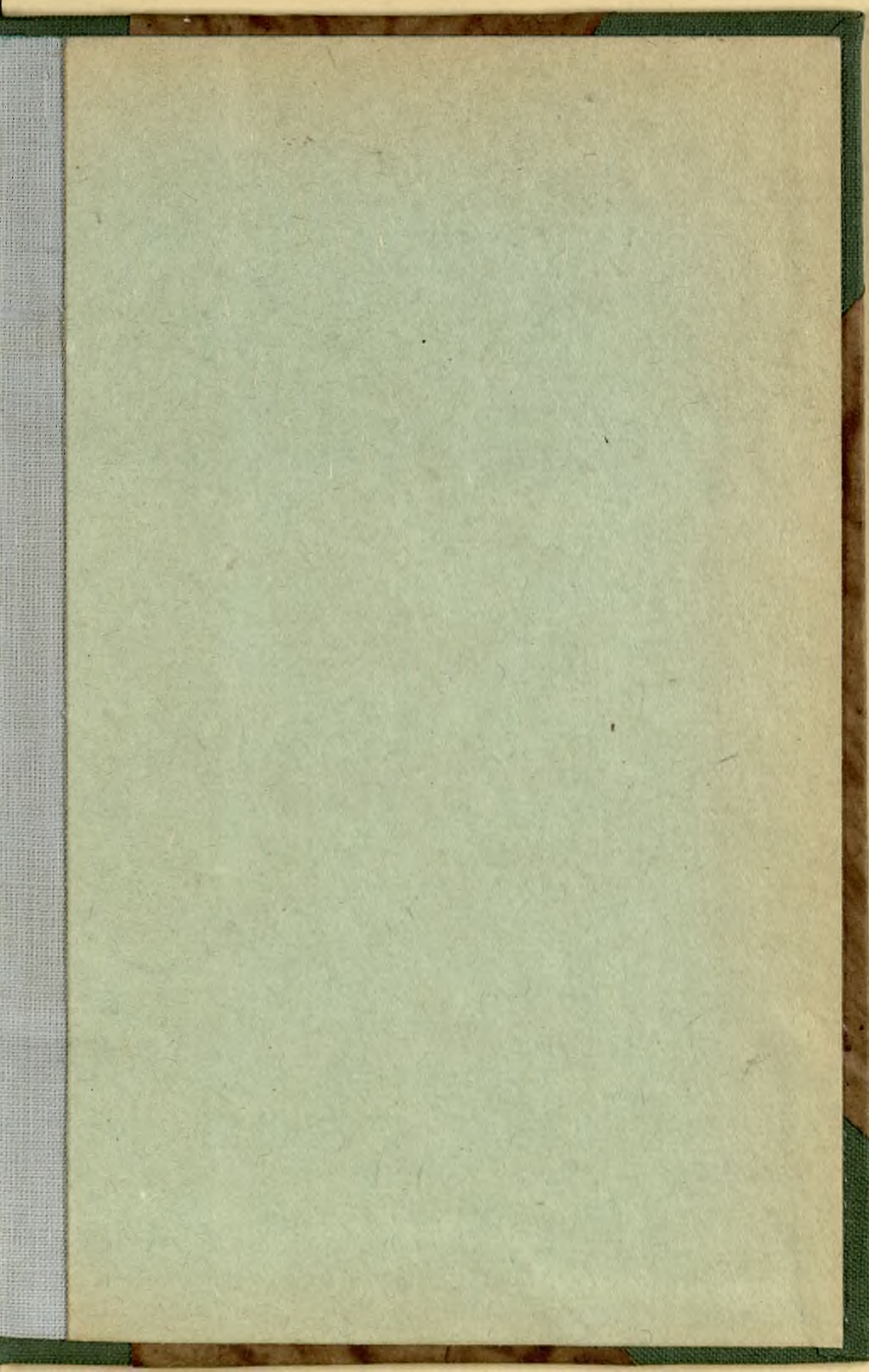
Dr. J. Bystroń.



C 034454T







Biblioteka Śląska *Korp.*

C 034454

I